

Prenumerata wynosi: Kwartalnie 4 kor. — 4 Mrk. 25 fen. — 1 Rbs. 80 kop. z przesyłką pocztową 2 Rbs. 60 kop. Półrocznie 8 kor. — 8 Mrk. 50 fen. 3 Rbs. 60 kop. z przesyłką pocztową 5 Rbs. 20 kop. Rocznie 16 kor. 17 Mrk. — 7 Rbs. 20 kop. z przesyłką pocztową 10 Rbs. 40 kop. W Ameryce: półrocznie 2 dolary 25 cts. — Rocznie 4 dol. 50 cts.

Wychodzi każdej soboty.

Redakcya i administracya KRAKÓW, Zacisze 7. Tel. 479.

Redaktor naczelny: STANISŁAW LIPIŃSKI.

Główny skład na Królestwo Polskie w Biurze G. Ungra, Warszawa, Aleje Jerozolimskie 78.

Prenumeratę przyjmują Biura UNGRA w Warszawie, Aleje Jerozolimskie 78, oraz wszystkie księgarnie tak w Warszawie jak i na prowincyi.

Numer pojedynczy 32 halerzy — 15 kop. — 32 fen.

Rok VII. Kraków, 9 kwietnia 1910. Nr. 15.

Wstrząsająca katastrofa. (Treść na str. 2).



Pierwsze polskie zawody narciarskie w Zakopanem.

Wstrząsająca katastrofa.

(Do illustracyi tytułowej)

Dawno już nie notowały kroniki tak strasznej, tak tragicznej, tak wstrząsającej katastrofy, jak pożar w węgierskiej wiosce Oekoerito, w pierwszy dzień świąt Wielkanocnych. O rozmiarach żywiołowej klęski świadczy najlepiej okoliczność, iż ofiarą jej padło życie przeszło 350 osób, a prócz tego mnóstwo ludzi odniosło ciężkie rany.



Arcyksiążę Fryderyk w Krakowie: Arcyksiążę Fryderyk (X) ze swym adjutantem w powozie przed kasynem wojskowem.

Pożar wybuchł w czasie zabawy tanecznej, urządzonej w ogromnej, największej we wsi szopie. Zebrała się tam prawie cała ludność wioski, a że sala była przepełniona, przeto celem zapobieżenia dalszemu napływowi gości, zwłaszcza nie mających biletów wstępu, zabito jedyne drzwi, prowadzące do wnętrza.

Zabawa była wesoła, ochocza. Wnętrze sali ozdobiono zielenią i girlandami, a oświetlono mnóstwem lampionów papierowych. Nagle jeden z lampionów zajął się, a płomienie przerzuciły się natychmiast na girlandy, a następnie z błyskawiczną szybkością, wykluczającą wszelki ratunek, na belki i ściany stodoły, która też wnet stanęła cała w płomieniach.

Nie trudno sobie wyobrazić panikę, która w tej chwili ogarnęła zebranych w przepełnionej sali. Poczęto się cisnąć przemocą, jedni przez drugich, ku drzwiom, które jednak były zabite, a zresztą i tak nie były wystarczające dla kilkuset w sali obecnych. W jednej chwili skłębił się obok tych drzwi ogromny tłum, walcząc z zaciekłością o drogę na zewnątrz, walcząc jednak na darmo. W tłoku szalonym, który powstał obok drzwi, zaduszono i stratowano wiele osób, ale jeszcze więcej poniosło śmierć w płomieniach i pod walącymi się gruzami szopy. Z obecnych na zabawie siedmiuset osób, ocalała niespełna połowa, a i ci przeważnie odnieśli cięższe lub lżejsze rany. Prócz tych też, którzy na miejscu życie stracili, kilkadziesiąt osób zmarło później skutkiem poranienia.

Przerażająca katastrofa wywołała nietylko w Oekoerito, nietylko na Węgrzech, ale wszędzie, dokąd wieść o niej doszła, ogólny żal i współczucie dla nieszczęsnych ofiar. Przedewszystkiem jednak pogrążona w żałobie i boleści wioska Oekoerito. Ludność jej opłakuje zgon mnóstwa swych najbliższych i niema tam rodziny, którąby kogoś w tę noc tragiczną nie straciła. A że rozmiary katastrofy były tak straszne, że zginęła prawie połowa ludności, nic dziwnego, iż ci, co pozostali, nie mogli podołać pracy około wydobycia zwłok z pod zgliszcz i pogrzebania ich. To też wiele trupów, w połowie zwęglonych, pozostało przez dwa dni na miejscu katastrofy, zanim je zdołano uprzątnąć. Więc stały się w tym czasie pastwą żarłocznych psów i kruków, które zwabione zapachem krwi, zleciały się gromadnie z całej okolicy. Okropne, iście dantejskie sceny rozgrywały się więc na gruzach szopy, a na opisanie ich darmoby się siliło pióro ludzkie.

Więc niczem są dla ludności, dotkniętej okropną klęską, liczne objawy współczucia, depesze kondolencyjne od wielkich dygnitarzy i wysokich dostojników, niczem są wobec bezmiaru smutku i żałoby, w jakiej serca jej pogrążone po stracie najbliższych i najdroższych.

A w pamięci ludzkości pozostanie straszna katastrofa w Oekoerito na długie lata, jako wspomnienie pełne grozy i tragizmu.

Arcyksiążę Fryderyk w Krakowie.

Równocześnie odbyły się w Krakowie i Lwowie w ciągu paru dni ubiegłego tygodnia doniosłe narady wojskowości, oraz teoretyczne ćwiczenia wojenne. We Lwowie uczestniczyli w nich najwyżsi oficerowie miejscowi, a nadto przybyli generałowie ze wschodniej części kraju i paru z Węgier.

Z zachodniej Galicyi oraz z północno zachodnich Węgier generałowie i oficerowie sztabowi zebrali się w Krakowie, dokąd również przybył celem przewodniczenia naradom arcyksiążę Fryderyk, generalny komendant obrony krajowej.

Arcyksiążę Fryderyk, jeden z najwyższych dygnitarzy armii austryacko-węgierskiej, znany jest w Krakowie dobrze z czasów stałego pobytu tu przed dwudziestu paru laty, podówczas jako major a następnie podpułkownik 13 p. p. Arcyksiążę przybył do Krakowa w środę ubiegłego tygodnia wieczór i zamieszkał w hotelu Saskim. Na dworcu zjawił się celem powitania dostojnego gościa komendant korpusu, generał zbrojmistrz Steinsberg, delegat Fedorowicz, prezydent miasta dr. Leo itd.

Z powodu pobytu arcyksięcia w Krakowie, odbywała się codzienna zmiana warty na odwachu głównym w Rynku, w sposób uroczysty i w asystencyi orkiestry wojskowej. Niezwykłe w Krakowie widowisko ściągało każdego dnia w południe tłumy



Arcyksiążę Fryderyk w Krakowie: Tłumy publiczności, przypatrujące się zmianie warty.

publiczności krakowskiej do Rynku, celem przypatrzenia się uroczystej zmianie warty a przedewszystkiem celem przysłuchania się orkiestrze wojskowej.

W czasie trzechdniowego pobytu w Krakowie,



Arcyksiążę Fryderyk w Krakowie: Arcyksiążę Fryderyk.

spędzał arcyksiążę Fryderyk po kilka godzin dziennie w kasynie wojskowem, gdzie w dużej sali odbywały się ćwiczenia teoretyczne na mapach Krakowa i okolicy. Był to tak zwany „Kriegsspiel“. Ćwiczenia zakończono w południe w sobotę i tego dnia arcyksiążę opuścił Kraków, żegnany na dworcu przez przedstawicieli wojskowości i władz krakowskich.

Z powodu wspomnianych ćwiczeń w Krakowie i Lwowie, krążyły w ostatnich dniach pogłoski o bliskiem niebezpieczeństwie wojennem. Pogłoski te jednak nie mają, jak się okazało, żadnej realnej podstawy.

Walka dwu Izb w Anglii.

(Do illustracyi na str. 10).

Walka o przewagę Izby niższej nad wyższą w Anglii, rozpoczęta jeszcze pod koniec ubiegłego roku, ciągnie się dalej, a nowe wybory wcale tej aktualnej i pod względem politycznym nadzwyczaj doniosłej kwestyi nie rozstrzygnęły. Izba niższa posiada nadal większość, usposobioną wrogo wobec Izby wyższej, a dowodem tego była nadzwyczaj ożywiona i namiętna dyskusya konstytucyjna, przeprowadzona w Izbie niższej w ostatnich dniach ubiegłego miesiąca.

W czasie tej dyskusyi prezydent gabinetu Asquith wniósł w Izbie posłów trzy rezolucye, którym towarzyszyły huczne oklaski tak liberałów jak i całej lewicy. Rezolucye te, nazwane przez konserwatywną prasę angielską wprost „rewolucyą antylordowską“, proponowały odebranie Izbie lordów kompetencyi w sprawach finansowych, ograniczenie jej prawa „veto“ w ten sposób, że każda ustawa staje się prawomocną po dwukrotnem uchwaleniu jej przez Izbę gmin w ciągu jednej i tej samej sesyi, wreszcie zagwarantowanie Izbie wyższej supremacyi nad Izbą wyższą we wszystkich sprawach prawodawczych.

Przedłożenie powyższe zostało przez konserwatystów przyjęte jak najgorzej. Ich przywódca, lord Balfour, jeden z najtęższych mowców parlamentarnych, został po prostu tem przedłożeniem z równowagi wyprowadzony, a w swem przemówieniu nie krępował się zupełnie doborem słów, z których wiele wcale do „lordowskich“ wyrażeń nie należało. Mowa też jego, pełna osobistych inwektyw i wyrażeń, nie licujących z godnością szanującego się polityka, wywołała nawet w obozie konserwatywnym jak najgorsze wrażenie.

Oświadczenie się Irlandczyków za rezolucyami Asquita, przypieczętowało sprawę, a Izba przedłożone rezolucye odesłała do komisyi.

Jaki będzie dalszy przebieg tej niezwykłej w dziejach nowoczesnych walki dwu Izb, trudno przewi-



Nowy prezydent Dumy: Aleksander Guczkow (październikowiec).

dzieć, to jednak jest pewnem, że walka ta nie pozostanie bez głębokiego wpływu na stosunki polityczne całej Europy.



Arcyksiążę Fryderyk w Krakowie: Uroczysta zmiana warty 13 p. p. w odwachu głównym na Rynku krakowskim.

Nowy prezydent Dumy.

Stosunki październikowców z premierem rosyjskiego rządu, Stołypinem, pozostawiają wiele do życzenia. Mimo należenia październikowców do większości rządowej, prezydent ministrów Stołypin nie pominął nigdy sposobności, by październikowcom dać do poznania, że jest z nich niezadowolony. Tak było z byłym prezydentem Dumy Chomiakowem, któremu premier Stołypin telefonicznie zakomunikował swe niezadowolenie z kierowania pracami Izby prawodawczej.

W dniu 21 marca miejsce Chomiakowa zajął Guczkow, należący również do stronnictwa październikowców.

Guczkow urodził się w r. 1863 jako syn bogatej rodziny kupieckiej. Ukończywszy studya historyczne i filologiczne w Moskwie, objął kierownictwo domu handlowego swego ojca. Swojego czasu brał czynny udział jako ochotnik w walce Burów przeciw Anglikom, a na wojnę rosyjsko-japońską wyruszył jako reprezentant Czerwonego Krzyża. W r. 1905, gdy wybuchło w Moskwie zbrojne powstanie, widziano Guczkowa walczącego na barykadach przeciw socyalnym demokratom. Gdy za czasów pierwszej Dumy przedstawiono go cesarzowi, spodziewano się, że Guczkow powołany będzie na jedno z pierwszych stanowisk w państwie. Stołypin powoływał go do swego gabinetu na ministra handlu, Guczkow jednak nie przyjął ofiarowanej mu teki. W czasie drugiej Dumy został przez kupiectwo moskiewskie obrany członkiem Rady państwa, godność tę jednak wkrótce złożył, by ponownie wejść jako poseł do Dumy.



Kanclerz niemiecki w Rzymie: Kanclerz Bethmann-Hollweg (X) i poseł niemiecki w Rzymie v. Jagow, na *Forum Romanum*.

Wybór Guczkowa prezydentem Dumy rokuje październikowcom wielkie nadzieje, bo nowy prezydent uchodzi za nadzwyczaj zdolnego i zręcznego dyplomatę.

Jubileusz kapłański.

Niezwykły i rzadki jubileusz obchodził ks. Ambroży Federowicz, były przeor klasztoru OO. Paulinów na Skałce, bo jubileusz 50 letni kapłaństwa. Sędziwy kapłan, liczący dziś już 74 lat życia, może z dumą spoglądać poza siebie, na półwiekową, ciężką i twardą pracę kapłańską, bo nie każdemu jest danem dożyć tak późnego wieku. Jubileusz kapłański O. Ambrożego był uroczystością nie tylko kościelną i klasztorną, ale był zarazem uroczystością obywatelską, która dała sposobność wielu obywatelom tak naszego miasta, jak i całej Polski do złożenia sędziwemu jubilatowi jak najserdeczniejszych życzeń i słów uznania za jego niestrudzoną pracę jako prawdziwego kapłana-obywatela.

Ks. Federowicz urodził się w Kaliskiem w roku 1836. Wyświęcony w r. 1860 w klasztorze na Jasnej Górze, O. Ambroży wkrótce musiał opuścić ukochany przez się klasztor. Zamieszany w walkę polityczną z r. 1863, aresztowany następnie, rzuca granice Królestwa i przenosi się do Krakowa. Tu na Skałce, do której za dawnych czasów pielgrzymowali zawsze królowie polscy, zastaje ruinę, wytęża więc wszystkie siły, by odrestaurować historyczny klasztor, a osobisty wpływ i zabiegi, pozwalają mu z czasem oglądać owoce swej pracy. Nie tylko klasztor i kościół ale i groby zasłużonych, znajdujące się w podziemiach kościoła, zostają odrestaurowane dzięki pomocy miasta i ówczesnego prezydenta J. Friedleina, osobistego przyjaciela O. Ambrożego. Ta Skałka, do której pielgrzymuje dziś lud polski z pod wszystkich trzech zaborów, otrzymuje nową i wspaniałą szatę, którą zawdzięcza wyłącznie O. Ambrożemu, długoletniemu przeorowi klasztoru OO. Paulinów w Krakowie.

Jako gorący patryota i świetny kaznodzieja znany był O. Ambroży Federowicz w szerokich kołach naszego miasta. Kazania jego ściągały tłumy pobożnej publiczności na Skałkę, a wymową swą i zapałem umiał porywać słuchaczy.

Uroczystość 50 letniego jubileuszu kapłaństwa odbyła się w dniu 4 b. m. na Skałce w asystencyi ks. biskupa Nowaka, licznego duchowieństwa zakonnego i świeckiego i wielu osób, które nawet z za kordonu na ten dzień do Krakowa przybyły.



Fot. St. Stadler, Kraków.

Jubileusz kapłański: Ks. Ambroży Federowicz (X) z krzyżem jubilata w ręku, w otoczeniu księży i braci klasztornych.

Albert Boissiere.

Człowiek bez twarzy.

16

(Ciąg dalszy).

— Któż ci zabiera twą wolność, Łucyo? — zapytałem spokojnie...

— William!... William pod pretekstem, żeśmy się dawniej kochali, chce zacząć na nowo głupstwa!... Ach! nie! tysiąc razy nie!... Wolę żyć bez grosza z Dżimem, z którym miałam już dziecko, niż być bogatą z synem tego narwańca Joego, który wiadomo dokąd mnie doprowadził swemi pięknemi obietnicami! Dosyć już miałam i ojca i syna i nic już nie chcę o nich słyszeć!

Dżim potwierdził to uderzeniem swego wielkiego kułaka w biurko i dodał:

— Panie William nie będzie miał Łucyi, która kocha Dżima... albo Dżim będzie miał skórę panie William... Ja boksowałem panie w trybunale. Będę boksował panie wszędzie, dokąd zechce zawieść Łucyę, która nie chce z nim iść!... Powiedz, Łucyo! Powtórz master Brentano, że William ci się nie podoba i że kochasz Dżima!

— Zbyteczne! — przerwałem.

A zwracając się do Łucyi, zawołałem:

— Gotowa pani zrzec się dobrowolnie testamentu Joego?

— Ach! ma się rozumieć!... Zrzekam się wszystkiego, tylko chcę być swobodną!

— Przyrzeka mi pani, że opuści Nowy Jork wieczorem, jeżeli wyznaczę odpowiednie środki do życia razem z Dżimem, tym dzielnym Dżimem, najwytrwalszym z kochanków?

— Zobowiązuję się do tego!

— Dobrze!... Proszę iść razem z mym sekretarzem, panem Johnem Fellowem do adwokata Tecka, który da pani do podpisania odpowiedni akt!

Dałem znak Fellowowi.

— Wyprawi pan tych dwoje oryginałów pociągiem, którym zechcą jechać, w kierunku, jaki im się spodoba i wręczy im pan w chwili odjazdu dziesięć tysięcy dolarów z mej kasy!

...William, który siedział w mym fotelu, nie zrobił ani jednego ruchu, nie rzekł ani jednego słowa na znak protestu...

Uszczęśliwiony Dżim zaczął tańczyć z radości jakiegość szalonego cake-walka... Łucya Weill zadowolona z przyszłości, jaka się przed nią otwierała, podziękowała mi słowami, które mimo swej formy, wyrażały dobrze głęboką jej wdzięczność:

— Ty przynajmniej, mój staruszku, okazałeś się do końca prawdziwym gentlemanem!

Poprawiła swój pognieciony trochę w poprzedniej walce ogromny kapelusz i wyszła razem z negrem, nie zwracając się ani jednem słowem pożegnania do osłupiałego Williama.

Między mną a Williamem zaległo teraz ciężkie, duszące milczenie. Po kilku chwilach, William podniósł swą głowę, pokaleczoną w nierównej walce ze zdobywcą Łucyi Weill i z napuchniętych warg jego padły te słowa:

— Toś ty, Jonatanie, urządził to wszystko!

— Ja?... Czyś ty zwaryował?

Roześmiał się w jakiś przejmujący sposób i rzekł:

— Tak! zwaryowałem!...

Był już widocznie wyczerpany z sił, gdyż padł bez czucia na fotel, na którym ja poprzednio leżałem w omdleniu.

XXI.

Wyrok nad Polidorem został wykonany w dwanaście dni po jego wydaniu przez sąd. Jak mi opowiadał obrońca, obecny przy traceniu, Polidor z zupełnym spokojem siadł w fotelu, z którego nigdy już nie miał powstać... Nie okazując najmniejszego przestrachu, pozwolił włożyć sobie na głowę kask, przez który przechodził prąd, dostateczny do zabicia dziesięciu wołów. Lecz czy to z powodu niedoświadczenia kata, czy też z jakiegoś kaprysu elektryczności, co się już nieraz zdarzało przy egzekucyach, Polidor oddał duszę dopiero po siedmnastu minutach strasznych cierpień.

Nie chcę tutaj wzbudzać litości zwolenników kary śmierci, którzy pod tym względem są zasadniczo nielitościwi... W tym jednak wypadku za nadto jestem osobiście dotknięty, bym mógł rozważać, czy społeczeństwo wywiera swą zemstę, czy też zadaje tylko karę, wypływającą logicznie z jego prawa do samoobrony!... Byłbym tu zbyt stronniczy!... Niech mi wolno jednak będzie nie wierzyć, wbrew głupim twierdzeniom lekarzy ekspertów, ludzi tak omylnych jak przestępcy i sędziowie, jak zresztą wszyscy inni, w odpowiedzialność chłopca, który zabija swą matkę dla pięciu luidorów i zaledwie zostaje zabezpieczony przed karą, dopuszcza się naiwnie nowej zbrodni!

...Noc poprzedzającą dzień, w którym Polidor spłacił swój dług społeczeństwu, spędziłem bezsennie, pracując przy biurku... w ten tylko sposób mogłem przeżyć tę straszną chwilę śmierci swego syna... Sekretarz mój, John Fellow, zjawił się u mnie wczesnym rankiem. Nie mógł on ukryć swego przerażenia na mój widok... Rzekł mi też:

— Tej jednej nocy postarzał się pan, master Brentano, o dziesięć lat! Niech pan spojrzy do lustra... Włosy pańskie stały się zupełnie siwe na skroniach... i ten kosmyk nad czołem!...

Współczucie Johna Fellowa zirytowało mnie.

— Siadajmy do pracy! — rzekłem. — Musimy przygotować wszystkie papiery, a mamy tylko dwa dni przed sobą... Dokumenty muszą być w takim porządku, bym mógł dać Williamowi jasny i dokładny pogląd na stan jego majątku...

Prawdziwą rozrywką i ulgą w mych cierpieniach była ta ciągnąca się od dwóch tygodni praca nad zestawieniem majątku trustu papierowego i nad obliczeniem wielkich kapitałów, złożonych w najrozmaitszych bankach i przedsiębiorstwach, by wyliczyć, jaka suma przypadnie w udziale Williamowi. Spadkobierca tak ogromnego majątku zdawał się wcale tem nie interesować. Widocznem było, iż wyjazd Łucyi z negrem, był dla niego daleko straszniejszym ciosem, niż zabójstwo Joego przez Tedda... Widywałem go codziennie w Waldorfie i za każdym razem przekonywałem się, że obecność moja sprawia mu przykrość... Przez jakąś jednak niewytłómaczoną sprzeczność, zdawał się pragnąć tej przykrości i nawet, jeżeli można tak powiedzieć, cieszyć się nią... Gdy o zwykłej porze nie zjawiałem się w Waldorfie, przychodził odwiedzać mnie do pałacu przy 34 avenue.

W rozmowach swych nie wspominaliśmy ani jednem słowem o Łucyi lub Teddym... Staraliśmy się, każdy ze swej strony, nie przypominać niepotrzebnie własnych bólów... Umówiliśmy się, że natychmiast po zlikwidowaniu interesów spadkowych wróci do Francyi... Nie śpieszył się jednak z powrotem... Dla cierpień swych nie znajdował nawet ulgi w gorączce pracy, która mi osładzała nie jedną chwilę tęsknoty i samotności... Po większej części bywał milczącym i ponurym; nie robił wrażenia, iż w swej pustej głowie układa jakieś wielkie projekty, jasnem jednak było dla uważnego obserwatora, iż jakaś uparta myśl ciągle go niepokoi... Nigdy nie słuchał zadawanego sobie pytania i zawsze odpowiadał na coś innego.

Gdy mu pewnego razu oznajmiłem, iż mam zamiar towarzyszyć mu do Francyi i opuścić zarząd majątkiem, by żyć razem z nim, nie sprzeciwił się temu, lecz i nie okazał żadnej radości, której mógłbym się jednak spodziewać, gdyż było to dawniej najgorętszem jego pragnieniem. Teraz, gdy Joe nie żył, nie krępował się niczem i nazywał mnie publicznie „swym ojcem". Słowa te wymawiane przez męża Eweliny, sprawiały mi po śmierci Polidora najżywszą radość.

Ja straciłem Polidora; on stracił Łucyę Weill... i zdawało się, że wszystko składa się na to, byśmy jeszcze bardziej zbliżyli się do siebie! Nie miałem już odwagi snucia na przyszłość wesołych projektów wspólnego rodzinnego życia, tyle natomiast posiadałem roztropności, iż nie powracałem już do przeszłości. W miarę jak sprawy spadkowe, które mi zajmowały cały czas, zbliżały się do końca, a następowała chwila odjazdu do Francyi, William stawał się coraz niespokojniejszym... Coraz rzadziej przychodził do mnie, a gdy ja zjawiałem się w Waldorfie, na dziesięć razy, dziewięć razy nie było go w domu...

Wreszcie zostały zakończone wszystkie sprawy, i załatwione wszelkie trudności spadkowe... Od chwili wejścia mego do spółki Duncan-Brentano, kapitał zakładowy zwiększył się o pięćdziesiąt milionów! Obecnie po dokonaniu wszelkiej formalności, potrzebne były jeszcze tylko podpisy stron zainteresowanych, to jest mój i Williama... Po zebraniu się w pałacu przy 34 avenue wszystkich dyrektorów naszych zakładów, oczekiwaliśmy tylko przybycia syna króla papierowego, by dał swój podpis, gdy nagle zamiast Williama Duncana zjawił się niespodzianie adwokat, pan Teck.

— A gdzie William? — zapytałem.

— Master William Duncan nie przyjdzie! — odpowiedział mi pan Teck.

— Jest słaby... chory może?

— Nie... Wsiadł tylko na okręt o trzy kwadranse na dwunastą i pojechał do Francyi, dokąd wzywają go obowiązki!

— Pan chyba żartuje, panie mecenasie... Zamówiliśmy przecież na jutro kajuty!

— Tak, zmienił jednak swe zdanie! — rzekł flegmatycznie adwokat. — Zresztą, jest to rzecz podrzędna!... Jestem, proszę panów, mandataryuszem pana Williama Duncana... Oto jest me pełnomocnictwo, zupełnie w porządku... proszę się przekonać... Zdaje mi się, że niema powodu odwlekać samej sprawy?...

Zebrani zgodzili się w milczeniu i formalności zostały dokonane bez żadnych przeszkód z obu stron...

Chciałem jak najprędzej pozostać sam na sam z panem Teckem, tym niespodziewanym pełnomocnikiem Williama, domyślałem się bowiem, że jego mandat nie ogranicza się tylko do podpisania niezliczonych papierów, jakie zebraliśmy... Pan Teck miał z pewnością jeszcze i coś innego do powiedzenia... Widać to było po jego zakłopotanej twarzy, po pośpiechu, z jakim żegnał obecnych. Wyraz jego twarzy zmienił się też natychmiast po wyjściu ostatniego gościa.

Master Brentano — rzekł mi, powstając — czy sekretarze pańscy już wyszli?... Niema pobliżu nikogo ciekawego?

— Może się pan nie lękać!... Nikt nas nie może słyszeć!... Lecz co pan ma do oznajmienia mi tak ważnego?

Siadł z powrotem, założył nogę na nogę, podciągnął uważnie spodnie i zaczął poważnym głosem:

— Powierzono mi bardzo delikatną missyę. Byłem pańskim obrońcą w sprawie Duncana i pan wie, jakie szczególne poważanie mam dla pana!... Nie jest to jednak moją winą, jeżeli obecnie zostałam doradcą prawnym Williama Duncana!...

— A czyż przez to pańskie poważanie dla mnie zmniejszyło się? — odparłem z uśmiechem.

— Ależ cóż znowu!... Przeciwnie, chciałbym, by to poważanie zjednało mi pańskie względy... Chciałbym, by pan mógł spokojnie wysłuchać mych rad i zastosować się do nich dla własnego dobra, dla dobrze zrozumianego interesu.

— Proszę, niech pan mówi, a potem zobaczymy, jak trzeba będzie postąpić!

— Oto — rzekł — proszę bardzo pana, master Brentano, by nie opuszczał pan gościnnej ziemi wolnej Ameryki!

— I z jakiej-że to racyi, jeżeli można zapytać?

— Nie znam dokładnie względów, kierujących Williamem, którego jestem i zamierzam pozostać ślepym mandataryuszem.

— Czy to William zamyśla mnie skłonić do niejechania do Francyi? — zawołałem zdumiony.

— Tak, to William zabrania tego panu!... „Zabrania!", jest to słowo nie moje, lecz wyraźnie użyte przez niego.

— Rozumiem to — rzekłem — czego pan nie jest w stanie nawet podejrzewać. Lecz czy William przy tych nierozsądnych i nieodpowiednich słowach podał panu jakie motywy podobnie szalonego rozkazu?

— Właściwie mówiąc, nie! Pozwolił mi jednak domyśleć się, iż pan bardzo pożałuje, jeżeli ośmieli się przestąpić jego zakaz... Natomiast wynagradza on pana za to w tak zdumiewający sposób, iż dla własnego dobra winien pan być mu posłusznym... Niech pan wybaczy mi to wszystko, co to słowo „posłuszny" ma w sobie nieodpowiedniego... William Duncan pozostawia panu najzupełniejsze korzystanie z trustu papierowego. ...Chce, by pozostał pan niezależnym kierownikiem nietylko swego majątku, lecz i jego!... Pan mnie rozumie... jego majątku!... Przyzna pan, że jest to coś niezwykłego...

— Co nie odpowiada wcale jego dziwnym rozkazom!

— Nie mówię, że nie!... Niech pan jednak zwróci uwagę na to, iż klient mój oddaje panu, że tak powiem, używalność swego majątku!... Jest to nieproporcyonalne wynagrodzenie za przymus i zobowiązanie się nie jeżdżenia do Paryża!... Proszę pomyśleć, że William zadawala się obecnie czekiem tylko na dwadzieścia milionów franków... na swe pierwsze potrzeby... Gardzi on najzupełniej majątkiem, co ja uważam za prawdziwą aberracyę umysłową!... Taką jest, master Brentano, moja misya... Czy zamierza pan usłuchać moich rad, zrzec się nużącej podróży i pozostać jedynym kierownikiem tak potężnej fortuny?

— Postąpiłbym może według pańskich rad, gdyby mi pan przedstawił ze strony swego ekscentrycznego klienta choć jeden powód, dla którego winienem się poddać takiemu żądaniu! — odparłem z uśmiechem.

— Owszem, mam jeden! — rzekł adwokat! O

sobiście nie rozumiem go wcale!... Nie wiem, czy i pan się na nim pozna!... Zresztą nie ma nic niemożliwego!

I z wewnętrznej kieszeni swego żakietu wyjął niezapieczętowaną kopertę... Otworzył ją ostrożnie i dostał z niej arkusz złożony we czworo...

— Oto, co mi pozostawił mój klient dla wręczenia panu, jeżeliby nie zechciał pan poddać się jego rozkazom... Jest to rebus, jaki się widuje na ostatniej stronicy illustrowanych pism... Ja nie mam odpowiednich zdolności do podobnego rodzaju zagadek! Może pan okaże się domyślniejszym.

Rozłożyłem bez najmniejszego pośpiechu ten arkusz i nie wiedziałem, czy śmiać się, czy widzieć tylko w tym papierze płód pomieszanego umysłu...

U góry arkusza napisał William po angielsku równo i poprawnie słowa, które umieściłem w tytule opowiadania o mych strasznych przygodach:

„Człowiek bez twarzy“.

Pod tem znajdował się rysunek, który przedstawia podobiznę twarzy w okularach.

Pozostałem jak osłupiały, z ściśniętem gardłem przed tą twarzą bez ust, bez nosa, bez rysów żadnych... w której tylko oczy ukryte za okularami, zdawały się odbijać w sobie jakby w jakiemś tajemniczem lustrze, mą przestraszoną postać. Na dole karty jako podpis znalazłem tę niejasną formułę algebraiczną:

$$3B + 3 + S + 2N + T = X$$

— Co to znaczy? — zawołałem przejęty nagłym strachem. — Czy to ma być żart? Czy nie wspominał pan, panie mecenasie, przed chwilą o aberracyi umysłowej, mówiąc o pogardzie Williama dla pieniędzy?

— Nie zdaje mi się, by był to żart! — odpowiedział adwokat. Jest to zadanie... które pan sam tylko może rozwiązać i którego znaczenie tylko William posiada! Ja się nie znam wcale na matematyce... widzę jednak, że jest to równanie... Jest w tem małem zadaniu algebraicznem, na pozór bardzo skomplikowanem... lub jak pan chce, bardzo łatwem... wielkość niewiadoma, którą trzeba odkryć...

— Tak... tak!... — szeptałem. — X ma być właśnie tem niewiadomem.

— Brak jakichkolwiek rysów w tej figurze przypomina pańską twarz, master Brentano, spaloną przez witriol!

— Pan żartuje!

— Jest to tylko me osobiste wrażenie, do którego zresztą nie przykładam sam żadnego znaczenia!... Co zaś do tej formuły albgebraicznej, to rozumiem się na niej tyle, co i na hebrajszczyźnie!

Nie słuchałem już adwokata. Zahypnotyzowany tą formułą, łamałem sobie głowę nad znaczeniem, jakie William włożył w te niezrozumiałe dla mnie litery... Nie dochodziłem jednak do żadnego wyniku! Czytając jednak głośno kilkakrotnie tę formułę i zaczynając ją od 3 B, zwróciłem nagle uwagę na to, iż od B zaczynają się oba me nazwiska Barrabas i Brentano i że B w Barrabas powtarza się dwa razy, co razem stanowi właśnie 3 B! Jedna chwila zastanowienia się okazała mi, iż William do swej formuły użył tylko spółgłosek!... Schwyciłem szybko za pióro i napisałem na papierze dwa nazwiska... swe dwa nazwiska. Natychmiast poprzekreślałem samogłoski, by zobaczyć, do czego mnie to doprowadzi i zastąpiłem je punktami:

BR. NT. N. B. RR. B. B. S.

Gdym dodał razem jednakowe litery tego hieroglifu, otrzymałem pierwszą część równania:

$$3B + 3R + S + 2N + T$$

Zimny pot wystąpił mi na czoło!... Odrzucając zupełnie X, zacząłem przestawiać w najrozmaitszy sposób dane litery i doszedłem do jedynego możliwego rozwiązania:

+ B. RR. B. S. = — BR. NT. N.

Co innemi słowami znaczy: Brentano jest Barrabasem.

— Odgadł pan ten rebus? — zapytał mnie po chwili milczenia adwokat.

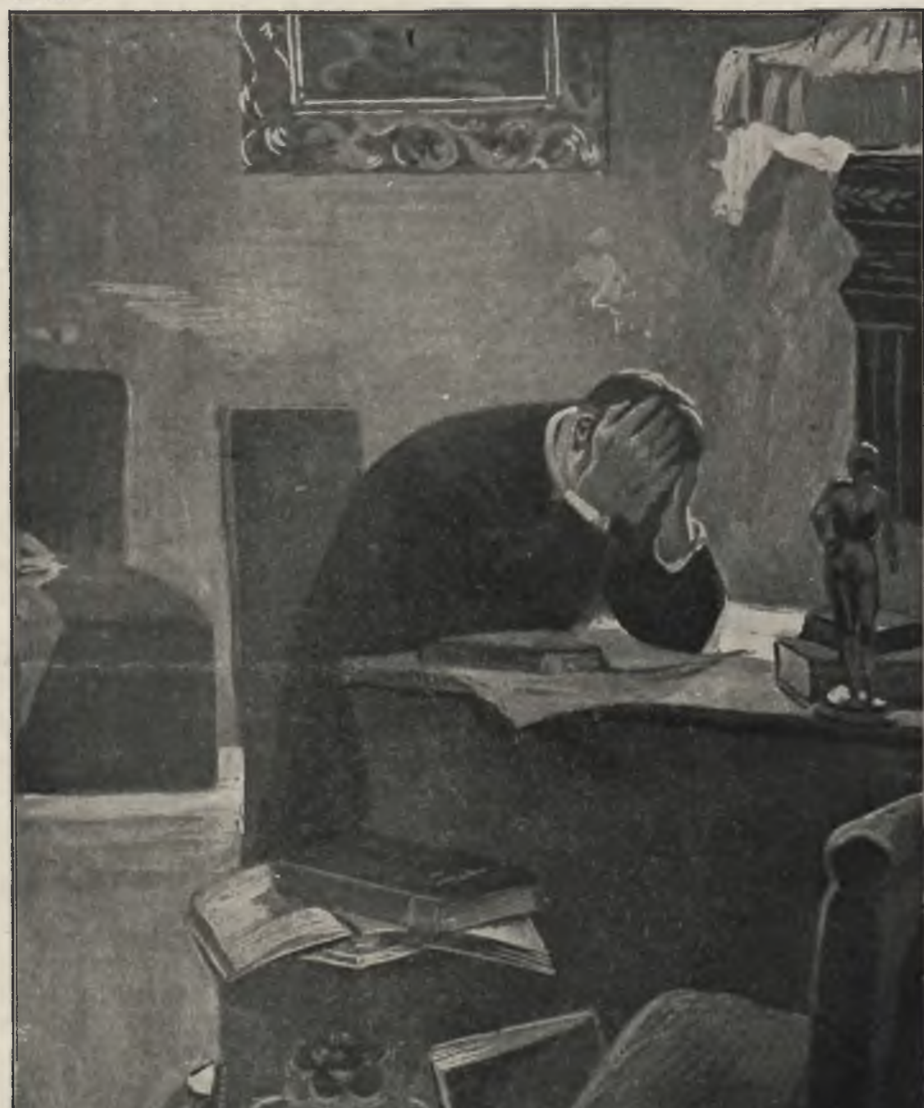
Złożyłem starannie arkusz z rozwiązaniem i zadaniem, ułożonem przez Williama, włożyłem oba do teki i zamknąłem je w szufladzie swego biurka, potem dopiero odpowiedziałem adwokatowi:

— Posłucham pańskich rad, panie mecenasie... Zdaje mi się, że William ma racyę! Pozostanę w Stanach Zjednoczonych i będę rządził jego majątkiem i swoim. Jestto lepsze, niż jechać do Francyi i narażać oba majątki!

Obrońca mój, nie domyślając się nawet właściwego znaczenia mych słów, zamienił ze mną serdeczne shake-hand i dodał na pożegnanie:

— Wiedziałem, że człowiek, który jest wart sto pięćdziesiąt miljonów dolarów, nie będzie postępował lekkomyślnie!

...Tak więc William, jedyny na świecie, odgadł, kim ja jestem rzeczywiście. Nie były to jakieś przypuszczenia i podejrzenia, które mi dał poznać zaraz po swym przyjeździe do Nowego Jorku, lecz było to formalne oskarżenie, zawarte w tajemniczej formule i stanowiło groźbę na poparcie jego żądania. W żądaniu tem była ukryta przestroga, której znaczenie dobrze pojmowałem. ...William opierając się tylko na wyznaniu swej żony, doszedł do wniosku, iż ja jestem ojcem Eweliny.



Położyłem obie ręce na biurku i zacząłem płakać żałośnie nad swoim losem.

Przez zlecenia, jakie zostawił dla mnie u swego pełnomocnika, dawał mi jasno do zrozumienia, iż nie chce, abym się mieszał do życia jego z Eweliną. Oddanie mi zaś w ręce kierownictwa swym majątkiem, miało świadczyć iż nie zamierza wcale wyjawić strasznej tajemnicy mego życia, jaką odgadł.

Wszczynać obecnie walkę z Williamem byłoby to samo, co narażać i tak już godny politowania los Eweliny. Przyznać zaś mu się do wszystkiego — miałoby ten skutek, iż na przyszłość pozostałbym względem niego zupełnie bezstronnym! Nie miałem więc tu żadnego wyboru!

Tak, po tysiąc razy tak! William miał racyę!

Znikając dla świata pierwszy raz, zachowałem honor swego nazwiska i w ten sposób wygrałem sprawę przed społeczeństwem! Wygrana musi pozostać przy mnie aż do końca... Mam być nadal Brentanem, ponieważ rzeźbiarza Barrabasa już niema na świecie.

Przeżywane obecnie chwile były dla mnie tak ciężkie, iż zdawało mi się, że wpadam w agonię nie tylko duchową, lecz i cielesną. Krew uderzała mi do głowy... Położyłem obie ręce na biurku, głowę oparłem na łokciu i zacząłem płakać żałośnie nad swym losem, nad swą samotnością...

I zdawało mi się, że jak we śnie, słyszę głos pana Tecka, powtarzającego mi to, co powiedział po mem aresztowaniu:

— Jest pan teraz, master Brentano, podobny do muchy, która trzepoce się bezsilnie w pajęczynie, utkanej przez zręcznego pająka!

XXII.

...Przez dwa lata zachowywałem ściśle rady pana Tecka! ...Przez dwa lata byłem królem papierowym, Jonatanem Brentano i nigdy, ani na jedną minutę dnia lub nocy nie stawałem się kim innym, człowiekiem, którym powinienem być, człowiekiem, którym byłem w rzeczywistości, człowiekiem, o jakim wiedział William i jakim nie chciał, bym był!

...Przez dwa lata rozwijałem niestrudzoną działalność, przebiegałem niezmierzone przestrzenie od nowego Jorku do Bostonu, od Chicago do miast Luizyany, zakładając nowe fabryki, stając się prawdziwym *business man!* Przez ten czas nie tylko Ocean oddzielał mnie od ziemi ojczystej. Jakaś przepaść powstała między mną i Francyą i zdawało mi się, że nigdy nie zdołam jej zasypać...

Od dwóch lat nie otrzymałem od Williama innych listów, oprócz krótkich, zwięzłych, prawie suchych listów, przychodzących co pewien określony czas i odnoszących się przeważnie do wspólnych interesów, a nie zawierających nigdy najmniejszego wspomnienia o przeszłości, lub jakiejkolwiek wzmianki o teraźniejszości!... Pustkę pod tym względem wypełniał swymi listami Marcadian, z którym na swe szczęście utrzymywałem korespondencyę... Od niego też jedynie miałem wiadomości o Ewelinie i o jej dwojgu dzieci, Piotrze i Zuzannie... Listy jego dość przejrzyste, nie pozostawiały mi najmniejszdgo złudzenia co do szczęścia domowego mej córki... W wiadomościach, przysyłanych mi o jej małżeńskiem pożyciu, często wspominał o mizantropii Williama, która od powrotu jego z Ameryki przyjmowała zastraszające rozmiary, o zdrowiu jednak swej córki dostawałem tylko rzadkie i niejasne informacye!... Pole obserwacyi Marcadiana ograniczało się tylko do zewnętrznych pozorów i w korespondencyi swej okazywał się on naiwnie szczęśliwym, gdy pisał o majątku i stosunkach towarzyskich swej siostrzenicy!... Najwięcej szczegółów otrzymywałem o przepychu pałacu, jaki William kazał wystawić sobie i o eleganckiem życiu, jakie mogła wieść Ewelina, mimo ciągłych nieporozumień domowych!

Będąc obojętnym zupełnie na te zewnętrzne oznaki szczęścia, które w istocie wcale go nie dają, powracałem ciągle w swych myślach do przedmiotu, mogącego pogorszyć jeszcze i tak pełne przykrości życie Eweliny... Zmorą tą, jawiącą mi się często tak we śnie jak i na jawie, była Łucya Weill, o której nie mógł zapomnieć William... Przez te dwa lata nie słyszałem nic o niej i nic wiedziałem, co się z nią stało.

Aż oto, gdy w grudniu zostałem wezwany do Kanady, dla załatwienia ważnych spraw trustowych, spotkałem niespodzianie w Montrealu Łucyę Weill... Zdawać mi się obecnie może, iż wstąpiłem wtedy na minę, która zdrnzgotała do reszty me życie i me straszne przygody zakończyła w jeszcze straszniejszy sposób, jaki mógłby przewidzieć tylko Joe Duncan, ciągle mszczący się małżonek cudzołożnej Nelly Burlington. Po raz pierwszy dopiero przyjeżdżałem do Montrealu i gdym wysiał z wagonu po dwunastogodzinnej męczącej podróży, stanąłem jak olśniony... zdawało mi się, że znalazłem się we Francyi.....

(Ciąg dalszy nastąpi).

Pierwsze polskie zawody narciarkie w Zakopanem.

Zawody narciarskie, zorganizowane przez krakowskie Koło Karp. Tow. Narciarzy, a odbyte w drugi dzień świąt wielkanocnych w Zakopanem, dowiodły najlepiej, jak wielu zwolenników znalazł w stosunkowo nie długim czasie ten sport „królewski“ — jak go nazywają — w Polsce. Należyta reklama, wzorowana na zagranicznej, wydała spodziewane owoce, bo na miejsce wyścigów, na które obrano dość głęboko w górach położoną halę Goryczkową, pospieszyli prócz współzawodników z całego kraju licznie tak mieszkańcy Zakopanego, jak i goście, przybyli na czas świąt do naszej podtatrzańskiej stolicy.

Wyścigi, zapowiedziane na dzień 13 marca, musiały zostać odłożone, bo zakopiańska grupa narciarzy, koncentrująca się koło Tow. Tatrzańskiego, nie wierzyła w powodzenie tego przedsięwzięcia, mającego nosić charakter zawodów międzynarodowych. Mimo to, dzielni narciarze krakowscy postanowili nie odstąpić od dzieła prawie na pół przygotowanego i za granicami kraju już rozreklamowanego i własnemi siłami doprowadzili zawody do skutku. Że wysiłki krakowskich narciarzy nie poszły na marne, o tem świadczy najlepiej nietylko poważna ilość współzawodników w poszczególnych biegach, ale i rekordy, jakie w jeździe na nartach, na trudnym terenie tatrzańskim uzyskano.



Pierwsze polskie zawody narciarskie w Zakopanem: Sędziowie przy starcie: Z lewej strony ku prawej: dr. Smoluchowski ze Lwowa, W. Goetel, inżynier Bobkowski (starter), J. Fischer z Krakowa.

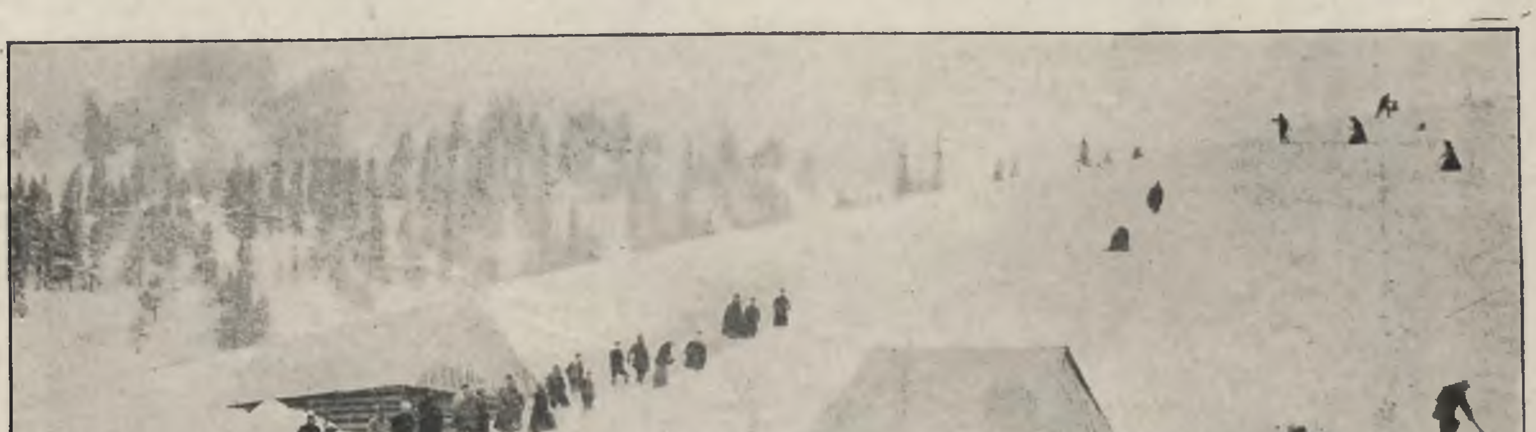


Pierwsze polskie zawody narciarskie w Zakopanem: Narciarze i pogotowie ratunkowe Tow Tatrzańskiego (X) w drodze na halę Goryczkową.

Do Zakopanego zjechało na ten dzień z górą 150 narciarzy i narciarek prawie że z całej Galicyi, bo ze Lwowa, Krakowa, Przemyśla, Nowego Sącza, Nowego Targu, Bielska, Krzeszowic, a ponadto dwóch przedstawicieli alpejskich narciarzy, między tymi Ryszard Gerin z Wiednia, jeden z najlepszych alpinistów i narciarzy, który może się poszczycić szeregiem zwycięstw, odniesionych na międzynarodowych wyścigach narciarskich, w tem ośm z tego roku. Podnieść należy, że w wyścigach wzięły udział także i sfery wojskowe, zachęcone do tego specyalnemi ogłoszeniami komend korpuśnych z Krakowa, Lwowa i Przemyśla, a w dzień zawodów zjechał nawet do Zakopanego jeden z oficerów sztabu generalnego z Krakowa, wydelegowany przez komendę I. korpusu.

O godzinie 10 przed południem zaroiła się pusta hala Goryczkowa od narciarzy i gości, którzy w długim pochodzie przybyli tu częścią pieszo, częścią na saniach. Widzowie usadowili się na śniegu, częścią w szałasach odkopanych z zasp śnieżnych, a komitet rozpoczął przygotowania do pierwszego biegu, w którym startować miała młódź narciarska, to jest ci, którzy dotychczas w żadnym biegu żadnych nagród nie zdobyli. Inżynier Bobkowski z Krakowa, znany narciarz i sportsmen, a zarazem I. przodownik krak. Karp. Tow. Narciarzy, wyprowadził do startu 8 współzawodników, opatrzonych wielkimi i widocznymi z daleka numerami startowymi. W szalonym pędzie zjechali juniorzy po zboczu od strony przełęczy Goryczkowej i wpadli na halę jak wichura, okrywając się chmurami rozpylonego od szalonej szybkości pędzących nart śniegu. Przestrzeń półtora kilometrową, przy różnicy wzniesienia, wynoszącej z górą 300 m., przebył najprędzej p. Jan Jarzyna ze Lwowa, członek Karp. Tow. Narciarzy, bo spotrzebował zaledwie 1 min. 35 sek. Drugi przybył do mety p. St. Mazurkiewicz z Zakop. Oddziału Narciarzy w 2 min. 32 sek., a trzeci p. St. Jaworski z Zakopanego w 3 min. 32 sek. Bieg ten wśród widzów wywołał prawdziwe zainteresowanie i silną emocyę ze względu, że wszyscy współzawodnicy równocześnie ze startu wyruszyli.

W drugim biegu, nazwanym biegiem starszych, stanęło do walki 9 współzawodników. Wszystkich uwagę zwraca na siebie p. Gerin z Wiednia, któremu też fama przepowiada zwycięstwo. Sportsmenowi wiedeńskiemu dobrze jednak dotrzymuje miejsca p. Bednarski z Zakopanego, który uzyskuje taki sam czas, jak i p. Gerin. Obaj przestrzeń 1400



Pierwsze polskie zawody narciarskie w Zakopanem: Goście i uczestnicy zawodów, oczekujący na bieg główny przed szałasami na hali Goryczkowej.

m. przebywają w 1 min. 13 sekundach. W rozgrywce o pierwsze miejsce p. Gerin bije jednak p. Bednarskiego, który musi się zadowolić drugą nagrodą. Trzecie miejsce zdobywa p. Zdyb z Zakopanego, a czwarte nadporucznik Kiettlinger z Przemyśla.

Po obiednim wypoczynku, w ciągu którego brać



Pierwsze polskie zawody narciarskie w Zakopanem: Zwycięscy w biegu „seniorów": od lewej ku prawej, Zdyb, Bednarski, Gerin.



Pierwsze polskie zawody narciarskie w Zakopanem: Najlepsi zakopiańscy narciarze: Zdyb, Bednarski. (Fot. J. Jaworski, Zakopane).

narciarska popisuje się sztuczną jazdą i różnymi kunsztami narciarskimi, następuje główny bieg tatrzański, będący atrakcyą dnia, a do którego staje grono najlepszych jeźdźców prawie z całego kraju. Na starcie, znajdującym się wysoko w górze, obok przełęczy Goryczkowej, zjawia się 13 narciarzy, a wśród nich reprezentanci Lwowa, Zakopanego i Wiednia. Zjazd, podobnie jak i w biegach poprzednich, utrudnia wielka ilość bramek, które każdy z współzawodników musi objechać, by dowieść, że nie lęka się żadnych przeszkód po drodze i że narty w zupełności opanował. Przestrzeń biegu wynosiła z górą 3 klm., a różnica wzniesienia startu od mety 300 m. W błyskawicznym pędzie zjeżdżali narciarze z pod przełęczy Goryczkowej na halę i to jeden po drugim, bo start był kolejny. Gdy sędziowie na mecie obliczyli czas zjazdu poszczególnych uczestników tego głównego biegu, okazało się, że młody lwowski sportsmen, p. Jarzyna, który co dopiero w biegu młodszych zdobył pierwsze wawrzyny, przebył przestrzeń 3 klm. w najkrótszym czasie, bo w ciągu 4 min. i 12 sekund. Zwycięscę wita publiczność owacyjnie i gratuluje mu mistrzowstwa Tatr. Drugą nagrodę zdobył w 4 min. 28 sek. p. Gerin (Wiedeń), trzecią p. Zaruski (Zakopane) w 4 min. 57 sek. Dalej według uzyskanego czasu przybyli do mety kolejno pp.: Jaworski (Zakopane), Dudryk (Lwów), Zdyb (Zakopane), Cybulski (Zakopane), Bednarski (Zakopane), Alpeński (Lwów), Kossowicz (Lwów). Dwóch zdyskwalifikowano z powodu opuszczenia bramek i upadków, które były w tym biegu wykluczone.

Żałować należy, że Krakowianom, zajętym organizacyą tych wyścigów, liczne obowiązki, które musieli wziąć wyłącznie na siebie, a to obowiązki komitetowych, sędziów, starterów, nie pozwoliły wziąć udziału w biegach. Zadowolić się oni muszą uznaniem powszechnem za dzielne doprowadzenie tych zawodów do skutku i sumienne wypełnienie rozlicznych prac tak przygotowawczych jak i w samym dniu i podczas wyścigów.

Jako sędziowie funkcyonowali pp.: dr. Smoluchowski, prezes K. T. N. ze Lwowa, Walery Goetel i Maryan Krzyżanowski, obaj z Krakowa.

Wieczorem zebrało się całe towarzystwo w cukierni Przanowskiego w Zakopanem, gdzie po przemowach prezesów krakowskiej i lwowskiej organizacyi narciarzy, pp.: J. Fischera i dra Smoluchowskiego, nastąpiło uroczyste wręczenie nagród zwycięscom.

Zawody narciarskie, odbyte w dniu 28 marca na hali Goryczkowej dowiodły, że sport ten ma w Polsce już licznych zwolenników, którzy śmiało mogą się mierzyć z najlepszymi przedstawicielami zagranicy.

W numerze niniejszym zamieszczamy szereg zdjęć z tych pierwszych zawodów narciarskich w Tatrach. Zdjęć tych, dających w przybliżeniu pojęcie o tem sportowem przedsięwzięciu naszych narciarzy, dokonał na miejscu wyścigów, na hali Goryczkowej p. J. Jaworski z Zakopanego.



Pierwsze polskie zawody narciarskie w Zakopanem: Uczestnicy zawodów przed cukiernią Przanowskiego w Zakopanem. (X) Jan Jarzyna, zwycięsca biegu o mistrzowstwo Tatr.

Książę japoński w Wiedniu.

Od czasu wojny japońsko-rosyjskiej stanęło państwo mikada w rzędzie mocarstw poważnych i poważanych, od tego czasu też przedstawiciele Japonii spotykają się wszędzie z objawami sympatyi i uznania dla niezwykłej tężyzny tego narodu.

Japonia jest dziś państwem na wskróś europejskiem pod względem urządzeń wewnętrznych, pod względem organizacyi społecznej i politycznej, choć umiała obok tego przechować aż dotychczas swoje charakterystyczne zwyczaje i obyczaje narodowe.

Europejczycy mało znają dotąd Japonię i jej ludność, choć naród ten zasługuje ze wszech miar na jak najbliższe poznanie. Jak dotąd bowiem niewielu Europejczyków zdobyło się na odwagę odwiedzenia najbardziej cywilizowanego państwa azya-



Pierwsze polskie zawody narciarskie w Zakopanem: Ryszard Gerin.

tyckiego, a i Japończycy w niewielkiej ilości zapuszczają się do Europy.

Zaledwie od czasu do czasu dochodzą nas wiadomości o pobycie któregoś z wybitnych Japończyków w Europie i to przeważnie w celach politycznych lub wojskowych. Celem zwiedzenia kraju, zwłaszcza naszego, rzadko bardzo Japończycy opuszczają swe ojczyste strony.

W ubiegłym tygodniu bawił w Wiedniu książę japoński Hiroyasu Fushimi, krewny mikada, celem zaznajomienia się z piękną stolicą naddunajską. Ze względu na to, że książę Hiroyasu Fushimi jest członkiem rodziny panującej, został przyjęty przez cesarza austryackiego na osobnej audyencyi, poczem i cesarz i wielu dygnitarzy austryackich rewizytowało księcia w jego mieszkaniu.

Te częste wizyty, jakie wybitni politycy i dygnitarze składają Europie, świad zą najlepiej, jak wielkie jest zainteresowanie w Japonii do urządzeń politycznych, kulturalnych, wojskowych i technicznych państw europejskich. Podróże mężów japońskich nie mają też charakteru wycieczek dla samej przyjemności podróżowania i zwiedzenia Europy, ale mają charakter nawskroś utylitarny. Japonia czerpie z Europy wzory, udoskonala je i następnie przeszczepia na swoim gruncie, przyspieszając w ten sposób zmodernizowanie kraju.

Rycina nasza przedstawia właśnie chwilę, gdy ks. Hiroyasu w towarzystwie kapitana korwety J. Kiyokowa, udaje się powozem do Burgu, celem odwiedzenia cesarza Franciszka Józefa.



Książę japoński w Wiedniu: Książę Hiroyasu Fushimi z adjutantem, kapitanem J. Kiyokowa, przed udaniem się na audyencyę do Burgu.

Wystawa automobilów w Pradze.

Przemysł automobilowy osiągnął obecnie, zdaje się, najwyższy punkt swego rozwoju. Ogromna rozmaitość i różnorodność wozów samochodowych, ich nadzwyczajnie prezycyjna budowa, niesłychana, nieprawdopodobna nieraz chyżość, jaką osiągają nie tylko wozy wyścigowe, ale zwyczajne, drogowe — wszystko to sprawia, że dziś jest samochód najmilszym, choć bardzo kosztownym środkiem komunikacyjnym. Dalszy postęp może tylko spowodować redukcyę cen, wątpliwe zaś jest, czy może doprowadzić do wspanialszych rezultatów.

Z nadzwyczajnym postępem w technice automobilowej zaznajomić się można obecnie na otwartej niedawno w Pradze wystawie samochodów. Wystawę tę zorganizował tamtejszy klub automobilistów, zapraszając do udziału szereg firm krajowych, austryackich i zagranicznych. To też okazów nadesłano wielką bardzo ilość, wszystkie nowe, piękne, błyszczące i połyskujące, nęcące oko wspaniałością wykonania.

Osobny oddział przeznaczono na tej wystawie aeronautyce, której ciągły rozwój stanowi poważną konkurencyę dla automobilizmu.

Wystawa mieści się w olbrzymiej hali przemysłowej, pozostałej z wystawy jubileuszowej w 1908 r.

Zorganizowanie tej wystawy należy poczytać za zasługę królestwa czeskiego, które nie szczędzi kosztów, by poprzeć swój wspaniale rozwijający się w każdym kierunku przemysł i zdobyć dlań jak najwięcej odbiorców i jak najwięcej rynków zbytu. Wystawa automobilowa w Pradze dowodzi, że i w tej gałęzi przemysłu Czechy nie pozotają w tyle za innymi i że posiadają dość sił żywotnych w swojem społeczeństwie, by podejmować na każdem polu zwycięską konkurencyę z innymi krajami.

Rycina nasza przedstawia scenę z uroczystego otwarcia wystawy.

Groźny wybuch wulkanu.

Początkowe wiadomości, nadchodzące z Sycylii, nie przedstawiały w zbyt jaskrawych barwach nowej katastrofy, zawisłej nad Włochami. Zdawało się, że czynność Etny, tego największego z europejskich



Wystawa automobilów w Pradze: Uroczyste otwarcie wystawy automobilów w Pradze w hali przemysłowej.

wulkanów, nie pociągnie za sobą następstw katastrofalnych. Zapytywani o zdanie geologowie włoscy, cieszący się sławą światową, ogłosili w dziennikach uspokajające artykuły, którym większa część mie-



Walka dwu Izb w Anglii: Lord Balfour, przywódca konserwatystów.

szkańców dała wiarę. Tymczasem wbrew zapewnieniom uczonych, lawa z każdym dniem płynęła coraz to szerszem korytem, aż doszło do tego, że ilość wyrzucanej przez wulkan lawy poczęła zwiększać się w nadzwyczaj szybkiem tempie, a przyrost ten stawał się widocznym już nie z dnia na dzień, ale z godziny na godzinę.

Szereg zagrożonych miejscowości, zalane pola, zniszczony dobytek i mienie ludności, kazały przypuszczać, że ma się już do czynienia z groźną katastrofą, której skutki i rozmiary trudno przewidzieć.

Rząd wysłał na miejsca zagrożone liczne oddziały wojsk tak dla asystencyi i pilnowania porządku i bezpieczeństwa publicznego, jak i dla niesienia szybkiej pomocy zagrożonym katastrofą mieszkańcom.

Największe jednak wysiłki nie zdołają okiełzać ślepego żywiołu i obliczyć choćby przypuszczalne rozmiary, do jakich katastrofa dojść może.

Jak donoszą ostatnie depesze, ludność miejscowa z chwilowego przestrachu ochłonęła, tem bardziej, że zdołano skonstatować, iż lawa poczyna obecnie płynąć z mniejszą niż początkowo szybkością.



Groźny wybuch wulkanu: Widok Etny w czasie wybuchu.

Zmiana gabinetu we Włoszech.

Nie po raz pierwszy zdarza się, że gabinet owiany najlepszemi intencyami, reprezentujący program, który znajduje ogólne uznanie, upada wskutek błahej sprawy, nie mogącej mieć najmniejszego wpływu i znaczenia na ogólny kierunek polityki rządowej. Tak było z gabinetem Sonnina, który od



Walka dwu Izb w Anglii: Prezydent gabinetu Herbert Henryk Asquith.

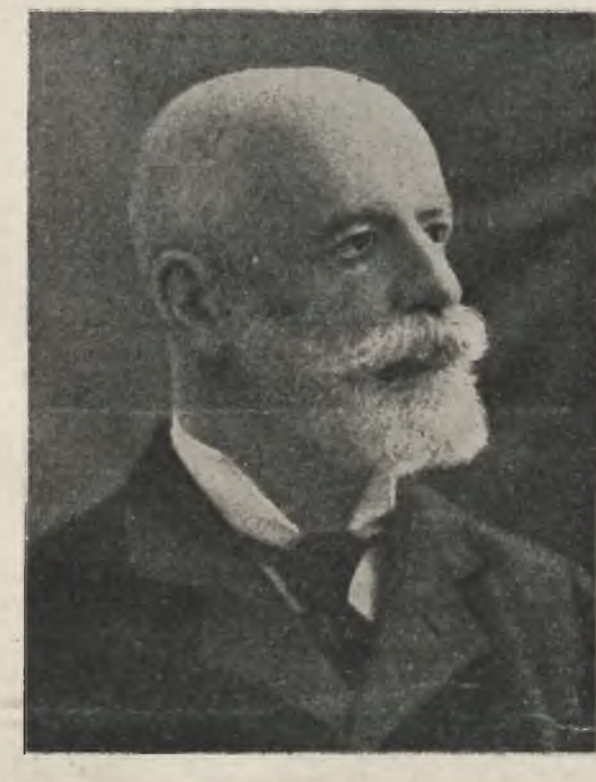
końca grudnia do 31 marca piastował godność premiera włoskiego.

Powodem upadku tego wybitnego i powszechnie w całych Włoszech szanowanego polityka, była kwestya rozdziału subwencyi państwowej między poszczególne towarzystwa żeglugi morskiej, których jest we Włoszech conajmniej tyle, ile miast portowych. O ten szkopuł rozbił się poprzednio gabinet Gioliettego, ta sama też przyczyna spowodowała obecnie upadek Sonnina. Podobnie więc jak pierwszy jego gabinet, tak i obecny przetrwał zaledwie sto dni, a ta okoliczność dała dowcipnisiom parlamentarnym dobry atut do ręki, by Sonnina ochrzcić mianem „studniowego premiera".

W miejsce Sonnina, który dekretem królewskim z dnia 31 marca otrzymał dymisyę, przyszedł do steru rządów Ludwik Luzatti, wybitny polityk i powaga w dziedzinie finansów państwowych. Gabinet, przezeń utworzony, jest dzieckiem kompromisu prawie wszystkich większych stronnictw parlamentarnych, które, nie wyłączając radykałów, mają obecnie swych reprezentantów w rządzie.

Ważna ze względu na politykę zagraniczną Włoch teka ministerstwa spraw zagranicznych przypadła wytrawnemu politykowi, markizowi di san Giuliano, co najlepiej świadczy, że polityka zagraniczna nowego rządu pójdzie śladami Giolittiego i Sonnina i nie naruszy trójprzymierza.

Równocześnie ustępuje także i obecny minister spraw zagranicznych, hr. Franciszek Guicciardini. Był to mąż stanu wybitnych zdolności i już na stanowisku *sindaca* t. j. burmistrza Florencyi



Zmiana gabinetu we Włoszech: Były minister spraw zagranicznych, hr. Franciszek Giucciardini.

odznaczył się niepospolitemi zdolnościami dyplomatycznemi.

Zmiana na fotelu ministerstwa spraw zagranicznych jest sprawą bardzo doniosłą, zwłaszcza dla Austro-Węgier, jako związanych z Włochami trójprzymierzem. Wiadomo zaś, że trójprzymierze nie jest wcale we Włoszech popularne i tylko zręczność i usilne zabiegi ministerstwa mogą je utrzymać, a uchronić oba sąsiedne państwa od groźnego konfliktu orężnego.



Zmiana gabinetu we Włoszech: Były premier Sidney Sonnino.

A. K. GREEN.

KTO MORDERCĄ?

13

Domyśliłem się odrazu, że to dzieło moich rąk; musiałem rzucić w szczelinę żarzącą się jeszcze zapałkę. Zatrzymałem się więc i spoglądałem w milczeniu na ogień. Płomienie podnosiły się coraz wyżej i łuna stawała się coraz większą. Tak przejąłem się tym widokiem, że byłbym zapomniał zupełnie o pani Belden, gdyby głębokie westchnienie nie przypomniało mi o jej istnieniu. Podszedłem bliżej i usłyszałem, jak szeptała sama do siebie:

— Boże mój, ja tego nie chciałam!

Potem dodała z pewną ulgą:

— Ale teraz przynajmniej wszystko będzie dobrze, Mary będzie szczęśliwa i nikt nikogo nie będzie winił.

Niczego więcej nie chciałem wiedzieć; odsunąłem się więc od niej i skierowałem się ku miastu, skąd już biegli ludzie do pożaru.

Po powrocie do domu uważałem za swój obowiązek sprawdzić, czy przypadkiem żebraczka nie skorzystała z naszej nieobecności i nie okradła mieszkania, obawy te jednak były zbyteczne. Potem udałem się do swego pokoju i obejrzałem uważnie pudełko. Było zamknięte i tak lekkie, iż myśleć nawet nie można było, by zawierało coś więcej oprócz dokumentów, o których wspominała pani Belden. Schowałem je pod poduszkę i udałem się do jadalnego pokoju.

Nie zdążyłem jeszcze usiąść i wziąć do ręki książki, gdy weszła gospodyni.

— Co za noc! — zawołała, zdejmując kapelusz i szal. Twarz jej, chociaż zaczerwieniona z pośpiechu, miała jednak zadowolony i spokojny wyraz.— Na niebie ciągle błyskawice — mówiła dalej — musiało się więc od nich co zapalić. Spodziewam się jednak, że pan nie nudził się tu sam. Wyszłam za interesem, nie przypuszczałam jednak, że zatrzymają mnie tak długo.

Odpowiedziałem jej coś, lecz nie pamiętam co właściwie, potem wyszła znowu z pokoju, by pozamykać wszędzie drzwi. Długo czekałem na nią, lecz widocznie udała się już do siebie, zostawiając mnie w spokoju. Miałem już dosyć wrażeń na ten dzień, postanowiłem więc odłożyć wszystko do jutra. Gdy tylko burza ucichła, położyłem się zaraz do łóżka i wkrótce zasnąłem głęboko.

— Mister Rymond!

Głos, wymawiający te słowa, był cichy, lecz tak dobitny, iż obudziłem się zaraz i rozglądnąłem się do koła. Świtało już i w drzwiach, wiodących do jadalnego pokoju, ujrzałem żebraczkę, której wieczorem dano z litości nocleg. Zdziwiony i rozgniewany tak niespodzianem pojawieniem się jej, zamierzałem już wypędzić ją, gdy nagle wyjęła czerwoną chustkę i domyśliłem się odrazu, że przedemną stoi „Czuły węch".

— Niech pan to przeczyta — rzekł agent, podchodząc do mnie i wsuwając mi do ręki arkusz papieru, poczem obrócił się szybko i znikł z pokoju.

Zerwałem się z łóżka i podbiegłem do okna; przy blasku wschodzącego słońca przeczytałem następujące słowa:

„Jest tutaj, widziałem ją; znajduje się w pokoju, zaznaczonym czerwonym krzyżykiem na dołączonym planie. Niech pan poczeka do ósmej rano i wtedy pójdzie na górę; postaram się jakimś podstępem usunąć na ten czas z domu panią Belden".

Dżen według dodanego planu znajdowała się na górze, tuż nad stołowym pokojem i nie myliłem się wczoraj, gdy mi się zdawało, że słyszałem nad sobą lekkie kroki. Z sercem więc pełnem ulgi ale zarazem i podnieceniem tem, że ujrzę wreszcie tę dziewczynę, wtajemniczoną zapewne w morderstwo, położyłem się znowu do łóżka, by odpocząć jeszcze z godzinkę. Nie mogłem jednak już zasnąć. Rozmyślałem więc nad przeżytemi wczoraj wrażeniami, słuchając dochodzących mnie odgłosów kroków ludzi, zdążających do pracy. Wkrótce potem usłyszałem, jak i pani Belden schodzi ostrożnie na dół po schodach. Mimowolny krzyk zdziwienia, jaki wyrwał się jej po wejściu do kuchni i przekonaniu się, że żebraczka zniknęła, zostawiając otwarte po sobie drzwi, dał mi powód do zastanowienia się, czy dobrze uczynił agent, iż odszedł, nie pożegnawszy się nawet z gospodynią.

Widocznie jednak poznał on dobrze charakter pani Belden, słyszałem bowiem, jak nakrywając stół w jadalnym pokoju, mówiła do siebie z przyzwyczajenia widocznie dość głośno: „Biedaczka, tak przywykła do spania pod otwartem niebem, iż nawet jednej nocy nie mogła spędzić pod dachem".

Przy śniadaniu tak byłem wzruszony, iż nie byłem w stanie cośkolwiek przełknąć. Skończyło się jednak i to nudne siedzenie i znowu znalazłem się w swym pokoju. Czas wydawał mi się nieskończenie długim. Naraz, właśnie gdy zegar wybijał ósmą godzinę, rozwarły się raptownie drzwi do kuchni i wbiegł jakiś mały chłopiec, wołając:

— Ojciec ma atak, niech pani zaraz przyjdzie!

Wstałem w tej chwili i wszedłem do kuchni. Gospodyni szykowała się już do wyjścia.

— Zachorował nagle biedny drwal, który mieszka na końcu tej ulicy — rzekła mi — muszę tam iść. Niech pan będzie tak dobry i przypilnuje domu.

I nie czekając na odpowiedź, ani nie mówiąc nic więcej, okryła głowę chustką i wybiegła za chłopcem, który był już na ulicy. W pokoju nastała taka martwa cisza, iż było mi nieco nieprzyjemnie. Minęło kilka minut, zanim owładnąłem sobą na tyle, iż mogłem wejść na schody. Otworzyłem pierwsze z brzegu drzwi i znalazłem się w sypialni, w której zapewne pani Belden spędziła noc; następnie skierowałem się do pokoju, oznaczonego na planie krzyżykiem. Był to maleńki pokoik, dobudowany prawdopodobnie później.

Stanąłem i zacząłem nadsłuchiwać — wszędzie było cicho, nacisnąłem klamkę i chciałem otworzyć drzwi, były one jednak zamknięte. Przyłożyłem ucho do dziurki w zamku, lecz w pokoju panowała grobowa cisza. Zaskoczyło mnie to niespodzianie, byłem niezdecydowany, nie wiedziałem bowiem, co czynić. Przypomniałem sobie jednak, że na planie były narysowane jeszcze drugie drzwi, wiodące z korytarza do tego samego pokoju. Skierowałem się więc natychmiast ku nim, lecz i te były zamknięte. Trzeba było działać siłą; podniosłem głos i kazałem dziewczynie otworzyć. Gdy na rozkaz mój nie dostałem żadnej odpowiedzi, powiedziałem stanowczo:

— Dżen, twój pobyt tu jest znany. Jeśli nie otworzysz nam w tej chwili, wyłamiemy drzwi. Uwolnij nas od tej przykrej konieczności i otwórz sama.

Znowu żadnej odpowiedzi.

Odstąpiłem na krok i nagle z całej siły pchnąłem drzwi; zatrzeszczały pod uderzeniem, lecz się nie poddały. Poczekałem chwilę, by przekonać się, czy się nie odezwie ktoś z wewnątrz, potem nacisnąłem jeszcze silniej drzwi i tym razem już z powodzeniem; drzwi się otworzyły i ja prawie że wpadłem do komórki, w której było tak zimno i ciemno, iż z początku nic nie widziałem. W chwilę potem ujrzałem na pościeli łóżka przy przeciwnej ścianie młodą dziewczynę z ładną, lecz strasznie nieruchomą twarzą. Na widok tej spokojnej postaci, leżącej pod kołdrą i wydającej się raczej rzeźbą z marmuru, niż żywem stworzeniem, zapytałem się mimowoli, czy sen może być tak podobny do śmierci. Nie miałem najmniejszej wątpliwości, że ona spała; dokoła leżało rozrzucone jej ubranie i bielizna, tak jak je zrzuciła z siebie wczoraj wieczorem, na krześle koło drzwi stała taca z przyborami do herbaty, jednem słowem wszystko w tym pokoju świadczyło o żyjącej tu osobie.

Twarz jej jednak była tak blada i nieruchoma, na pół przymknięte oczy miały tak szklany i zastygły wyraz, obnażona ręka tak ciężko leżała na kołdrze, iż nie miałem odwagi dotknąć się jej, jak trup spoczywającej w pościeli dziewczyny. A jednak winienem był to uczynić, ponieważ nie odzywała się wcale na me wezwania; pohamowałem więc swój wstręt i wziąłem ją za rękę, lecz natychmiast puściłem ją przerażony; była ona nie tylko zimna jak lód, lecz zupełnie sztywna jak u trupa.

Cofnąłem się w tył i jeszcze raz przyjrzałem się tej zastygłej postaci. Czyżby rzeczywiście tylko spała? Nachyliłem się nad jej ustami — nawet śladu w nich nie było najlżejszego oddechu! Drżąc z przerażenia, przyłożyłem rękę do jej serca — było ono bez ruchu.

O ile pamiętam, nie myślałem nawet w pierwszej chwili o wzywaniu obcej pomocy. Stałem tylko i patrzyłem na tę spokojną, uśmiechniętą twarz, która zdawała się mówić, że śmierć nie jest tak straszna, jak ją zazwyczaj przedstawiają. Myślałem o tem, iż los zamiast pomódz nam, zsyła nowe trudności; zamiast spodziewanego zadowolenia dał nam jeszcze jeden zawód.

Im dłużej wpatrywałem się w tę twarz, tem większe budził we mnie zdziwienie, malujący się na niej wyraz jakiejś radości. Podszedłem ku niej i zacząłem rozmyślać, czy niema jakiego sposobu ocucenia jej i przywrócenia do życia. Przypatrzywszy się jej jednak uważniej, przekonałem się, iż musiała umrzeć już przed kilku godzinami. Teraz dopiero zacząłem działać. Wychyliłem się z okna sąsiedniego pokoju i wywiesiłem z niego czerwoną chustkę, którą na szczęście zabrałem z sobą. W tej samej chwili jakiś młody człowiek, którego, zdawało mi się, wcale nie znałem, lecz który nie mógł być nikim innym, jak tylko „Czułym węchem", zbliżał się do domu i podchodził już do drzwi, przy których oczekiwałem go.

— Jak stoją sprawy? — spytał szeptem, wchodząc do domu — widział ją pan?

— Owszem — odpowiedziałem z goryczą — ma się rozumieć, że ją widziałem.

— I przyznała się do wszystkiego? — zapytał pospiesznie.

— Nie rozmawiałem z nią — odrzekłem i wprowadziłem go do pokoju pani Belden. — Mówił mi pan, żeś widział tę dziewczynę: czy był pan w jej pokoju?

— Nie, widziałem ją tylko przez okno; gdy zauważyłem w niem światło, wdrapałem się na dach werandy i stamtąd zajrzałem do jej komórki. Chodziła po niej od jednego rogu do drugiego. Lecz o co chodzi? — mówił dalej — ma pan jakiś dziwny wygląd. Co się stało?

Nie mogłem już dłużej milczeć.

— Niech pan idzie za mną — rzekłem — i przyjrzy się sam. Zaprowadziłem go do pokoiku, w którym byłem przed chwilą i wskazałem mu na łóżko. Napisał mi pan, że znajdę tutaj Dżen, nie uprzedził mnie pan jednak, w jakim znajdę ją stanie.

— Boże mój! — zawołał, drżąc cały. — Przecież ona nie umarła!

— Nie żyje — odparłem bezdźwięcznie.

Zdawało się, iż nie może zrozumieć tego, co mówię.

— Lecz to jest niemożliwe — wołał przerażony — przyjęła zapewne jaki narkotyczny środek i śpi głębokim snem!

— Z tego snu nikt się nie budzi. Niech pan spojrzy — przy słowach tych wziąłem jej rękę i pokazałem mu, jak opadła bezwładnie na kołdrę.

To widocznie przekonało go ostatecznie; obrócił się w milczeniu, nachylił i podniósł leżące na podłodze ubranie.

— Co pan robi? — zapytałem go. — Czego pan w niem szuka?

— Szukam niewielkiego papierowego pakieciku, który widziałem, jak wyjmowała wczoraj z kieszeni. Myślałem, że jest to jakie lekarstwo. Oto ono — i mówiąc to, podniósł z podłogi niewielką papierową kopertę i podał mi ją.

Obejrzałem ją i przekonałem się, że na wewnętrznej jej stronie zachowały się jeszcze ślady jakiegoś proszku.

— Lecz to jest niezwykle ważny dowód — zawołałem. — Jeżeli po zbadaniu okaże się, że jest to trucizna, będziemy wiedzieli, czem mianowicie otruła się ta nieszczęśliwa dziewczyna. Że jest to samobójstwo, nie może być co do tego najmniejszej wątpliwości.

— Nie można być tak bardzo tego pewnym — odpowiedział agent. — Jeżeli weźmiemy wszystko dobrze pod uwagę, to można dojść do wniosku, iż ta nieszczęśliwa była tak daleko od myśli o samobójstwie, jak i ja. Była ona bardzo wesołą i zadowoloną i gdy rozkładała ten złowieszczy papier, widać było na jej twarzy nawet tryumfujący uśmiech. A jeżeli pani Belden naprzykład dała jej ten proszek i powiedziała, że jest to lekarstwo?

— Należy to przedtem zbadać dobrze, gdyż jeszcze nie jesteśmy zupełnie pewni, czy była to trucizna. Bardzo być może, iż Dżen zmarła na paraliż serca.

Wzruszył w milczeniu ramionami i naprzód pokazał palcem tacę z przyborami do herbaty, a potem wyłamane przezemnie drzwi.

— Tak — rzekłem w odpowiedzi na jego wejrzenie — pani Belden była tutaj dzisiaj rano i zamknęła za sobą drzwi, dowodzi to jednak tylko tego, iż uważała tę dziewczynę za zupełnie zdrową.

— Nawet gdy zobaczyła tę bez życia bladą twarz na poduszce?

— Bardzo możliwe, iż nie popatrzyła nawet na Dżen, a tylko postawiła na krześle tacę.

— Nie chcę na nikogo rzucać podejrzeń, jest to jednak bardzo dziwny wypadek.

— Narazie winniśmy zaniechać wogóle wszelkich hypotez — rzekłem — przedewszystkiem trze-

ba działać. Chodźmy — i przy słowach tych skierowałem się szybko do drzwi.

— Co pan zamierza czynić? — zapytał mnie.— Czy pan zapomniał, że jest to tylko jeden epizod tej strasznej tajemnicy, po której wyjaśnienie przyjechaliśmy tutaj? Jeżeli dziewczyna ta nie umarła dobrowolnie, to za wszelką cenę winniśmy odnaleść jej zabójcę.

— Jest to rzecz sędziego śledczego, my nie mamy tutaj już nic do roboty.

— Tak, lecz zanim sprawę tę oddamy w inne ręce, możemy przynajmniej zbadać tę komórkę. Jestem pewny, że mister Grys spodziewa się tego po nas.

— Obejrzałem wszystko bardzo uważnie i cały ten obraz utkwił na zawsze w mej pamięci. Jestem przekonany, że nigdy go nie zapomnę.

— A zwłoki? zwrócił pan uwagę, w jakiem położeniu znajdują się? A stan bielizny na łóżku, zupełny brak jakichkolwiek oznak strachu lub walki? Spokojny wyraz twarzy i lekki ruch rąk?

— Owszem! nie jestem już w stanie patrzeć dłużej na to.

— A także ubranie, wiszące tam na ścianie? — mówił ciągle szybko, wskazując palcem na wyliczane przez siebie przedmioty.

— Perkalowe ubranie, szal — nie ten, w którym uciekła i który zapewne należy do pani Belden — następnie ten kuferek — dodał, nachylając się nad nim i otwierając go — jest tu tylko trochę bielizny ze znakami gospodyni domu. Wątpię, aby to było dla niej przygotowane? Jak pan widzi, jest to przygotowane raczej dla Dżen i tylko dla uniknięcia jakichkolwiek nieporozumień wyznaczone literami pani Belden. A ta oto bielizna na podłodze, jest zupełnie nowa i ma te same znaki. Lecz co to jest? — zawołał nagle.

Podszedłem do niego i razem z nim nachyliłem się nad miednicą, w której były resztki spalonego papieru.

— Gdy wczoraj wieczorem śledziłem ją — mówił ajent — widziałem, że robiła coś w kącie, nie mogłem jednak dojrzeć, co mianowicie. Widocznie chciała zniszczyć papiery, by nie wpadły nikomu w ręce. Niestety nie pozostało po nich ani skrawka.

— Pani Belden będzie musiała wyjaśnić nam tę zagadkę.

— Tak, winna będzie powiedzieć nam całą prawdę — zauważył ajent — od tego zależy bowiem tajemnica morderstwa Lavenforta. Kto wie, czy ten spalony papier nie zawierał właśnie zupełnego przyznania się tej nieszczęśliwej.

— Teraz jednak nie pozostało po nim nic oprócz popiołu — rzekłem — możemy też tylko potwierdzić ten fakt i nic więcej.

— Tak – przyznał ajent z głębokiem westchnieniem — lecz master Grys nie przebaczy nam tego z pewnością. Powie, że mogłem lepiej ją śledzić i choćby w ostatniej chwili powstrzymać od tego stanowczego kroku.

— Kto wie, co nam przyniesie jeszcze rozmowa z panią Belden — starałem się go pocieszyć — winna ona powrócić wkrótce i wszystko zależy od tego, czy uda się nam wydobyć z niej to, co wie o zabójstwie Lavenforta.

Przy słowach tych wyszliśmy z pokoiku, który też zaraz zamknąłem na klucz.

— Musimy wysłać natychmiast depeszę do pana Grysa — rzekłem — trzeba go bowiem poinformować o tym niespodziewanym wypadku.

— Zajmę się tem — odrzekł ajent, zmierzając do drzwi.

— Niech pan jeszcze poczeka chwilkę — zatrzymałem go — dopóki nie zapomnę tego: pani Belden przyniosła wczoraj z poczty dwa listy, jeden większy, a drugi mniejszy. Może pan dowie się na poczcie, skąd one były wysłane.

— Nie potrzebuję chodzić po to tak daleko — przy słowach tych wsunął „Czuły węch“ rękę do kieszeni: — Boże mój, zgubiłem go — zawołał i pobiegł po schodach na górę.

W chwili tej na dole skrzypnęła furtka.

— Wszystko okazało się kłamstwem, nikt nie zachorował, zażartowano tylko ze mnie — mówiła pani Belden, wchodząc zadyszana do przedpokoju i zdejmując kapelusz.

Gdy spostrzegła mnie, spojrzała mi na twarz i zawołała:

— Co się stało? Czemu mi się pan tak przygląda? Zdarzyło się jakie nieszczęście?

— Zdarzyło się coś, co ma niezwykle ważne znaczenie — odrzekłem. — Nie było pani w domu tylko przez kilka minut, lecz podczas pani nieobecności dokonano doniosłego odkrycia — zamilkłem umyślnie przy tem, aby zmusić ją do wygadania się ze strachu. Okazała jednak mniejsze zmieszanie, niż się spodziewałem, mówiłem więc dalej. Dokonano odkrycia, które będzie miało nadzwyczaj ważne następstwa.

Ku memu teraz zdziwieniu rozpłakała się odrazu:

— Wiedziałam o tem — mówiła, płacząc — wiedziałam o tem. Mówiłam, że jeżeli schowam kogo u siebie w domu, to nie da to się utrzymać w tajemnicy, zwłaszcza iż jest ona taka niespokojna. Zresztą — dodała z przestrachem — pan nawet nie powiedział mi, jakie właściwie zrobiono odkrycie; może pan myśli o czem innem, niż ja, może...

— Pani Belden — rzekłem — nie będę się starał osłodzić pani, czekającego na panią ciosu. Kobieta, która bez względu na najbardziej stanowcze żądania sądu zdecydowała się ukryć u siebie takiego ważnego świadka, jak Dżen, nie może liczyć na to, aby ją oszczędzano. Niechże więc pani się dowie, że starania jej zostały nagrodzone powodzeniem, że główny świadek już nie żyje i przez to biedna, niewinna panna, którą mogłyby ocalić zeznania zmarłej, została skazana na hańbę i zgubę.

— Co pan chce przez to powiedzieć? — zawołała zmieszana — przecież ja nie chciałam nikomu zrobić źle, przeciwnie chciałam ocalić człowieka. Ja... ja... lecz kto pan jest?... jakie pan ma prawo mieszać się do tego?... czego pan chce odemnie?... Mówi pan, że jest adwokatem... może przysłała pana tutaj Mary Lavenfort, by przekonać się, czy spełniam jej żądania?

— Proszę pani, jest to już zupełnie obojętne, kto ja jestem i po co tu przybyłem; lecz żeby pani lepiej uświadomiła sobie, jakie znaczenie mogą mieć dla pani moje słowa, powiem pani, iż nie oszukałem pani ani co do swego nazwiska, ani co do swego zawodu; do tego mogę dodać jeszcze i to, iż jestem bliskim przyjacielem obydwóch panien Lavenfor i dlatego interesuje mnie wszystko, co tylko ich dotyczy. I jeżeli teraz mówię pani, że Eleonora Lavenfort z powodu śmierci tej dziewczyny...

— Śmierci? Co to znaczy?

Zdziwienie jej było tak wielkie, przestrach tak naturalny, iż nie miałem najmniejszej wątpliwości, że nie przypuszcza nawet, jakie wypadki zaszły w jej domu.

— Tak — powtórzyłem — dziewczyna, którą pani tak długo i z takiem powodzeniem ukrywała u siebie, odeszła teraz od pani i tylko śmiertelne jej resztki znajdują się jeszcze w pani domu.

Dotychczas jeszcze dźwięczy mi w uszach krzyk, jaki dobył się przy tych słowach z piersi nieszczęśliwej.

— Nie wierzę w to — zawołała — nie wierzę!

Potem naraz pobiegła szybko po schodach na górę.

Nigdy nie zapomnę sceny, jaka rozegrała się potem w pokoju umarłej. Nieszczęśliwa wdowa załamywała ręce i klęła się na wszystkie świętości, iż jest niewinna i nic o tem nie wie. Wieczorem jeszcze widziała ją zupełnie zdrową i wesołą, drzwi zaś zamykała zawsze na noc, jeżeli w domu bawił ktokolwiek obcy. Jeżeli Dżen zmarła od paraliżu, to zupełnie cicho, gdyż biedna wdowa nie spała przez całą noc i uważała, by Dżen nie obudziła mnie przypadkiem.

— Lecz pani była dzisiaj w jej pokoju? — zwróciłem uwagę.

— Byłam, lecz nie zauważyłam nic szczególnego, a przytem spieszyłam się i myślałam, że ona jeszcze śpi. Postawiłam tacę na krześle i wyszłam, zamykając, jak zawsze, drzwi za sobą.

— To dziwne — rzekłem — a więc ona nie była chora?

— Nie, przeciwnie, była nawet weselsza i żywsza, niż zwykle. Nie przychodziło mi nawet na myśl, by wogóle mogła zachorować.

— Jeżeli pani nie przypuszczała, że ona jest chora — rozległ się nagle głos za nami — to w takim razie, po co jej pani dała lekarstwo?

Był to ajent, który wyszedł z sąsiedniego pokoju.

— Ja jej też wcale nie dawałam — odrzekła, sądząc, że to ja mówię dalej do niej. — Czyż nie tak, moja Dżen? — zapytała z nieudanym bólem, dotykając się ręki umarłej.

— Lecz w jakiż sposób znalazło się u niej to lekarstwo? Jeżeli nie pani, to ktoż inny dał go jej?

Teraz dopiero widocznie spostrzegła, że to nie ja mówię, lecz ktoś inny. Zwróciła się szybko do ajenta i patrząc na niego ze zdziwieniem, odrzekła:

— Nie wiem, kto pan jest, to jednak mogę powiedzieć z pewnością, iż Dżen nie przyjmowała lekarstwa. O ile mi wiadomo, wcale nie była chora.

— Na własne jednak oczy widziałem, że zażywała jakiś proszek.

— Pan widział? Czym ja zwaryowała? Pan widział, jak ona przyjęła proszek? Lecz jakże to pan mógł widzieć, jeżeli ona przez całą dobę była zamknięta w tym pokoju?

— Czyż tak trudno było zajrzeć do jej pokoju przez okno na strychu?

— Ach, więc w domu moim był szpieg? — zawołała, wstrząsając się cała. — Zasłużyłam jednak na to, zamknęłam ją na całą dobę i ani razu nie zajrzałem do niej w nocy. Lecz cóż ona zażyła? Lekarstwo?... truciznę?

— Nie mówiłem, że to była trucizna.

— Lecz pan myśli, pan sądzi, że ona się otruła i że ja do tego przyłożyłam rękę?

— Nie — wmięszałem się do rozmowy — wcale tego nie mamy na myśli, by pani przyłożyła rękę do jej otrucia. Ten pan mówi tylko, iż widział, jak Dżen zażyła coś, a ponieważ według wszelkiego prawdopodobieństwa było to przyczyną jej śmierci, pyta się więc pani, kto mianowicie dostarczył jej tego proszku.

(Ciąg dalszy nastąpi).



Co się stało? Czemu mi się pan tak przygląda?

Car bułgarski w Konstantynopolu.

Przed rokiem jeszcze dyplomacya europejska nie przypuszczała, że w 12 miesięcy, później, naprężone podówczas stosunki Bułgaryi z Turcyą dojdą do takiego wygładzenia, że król Ferdynand będzie składał w Konstantynopolu oficyalną wizytę sułtanowi tureckiemu.

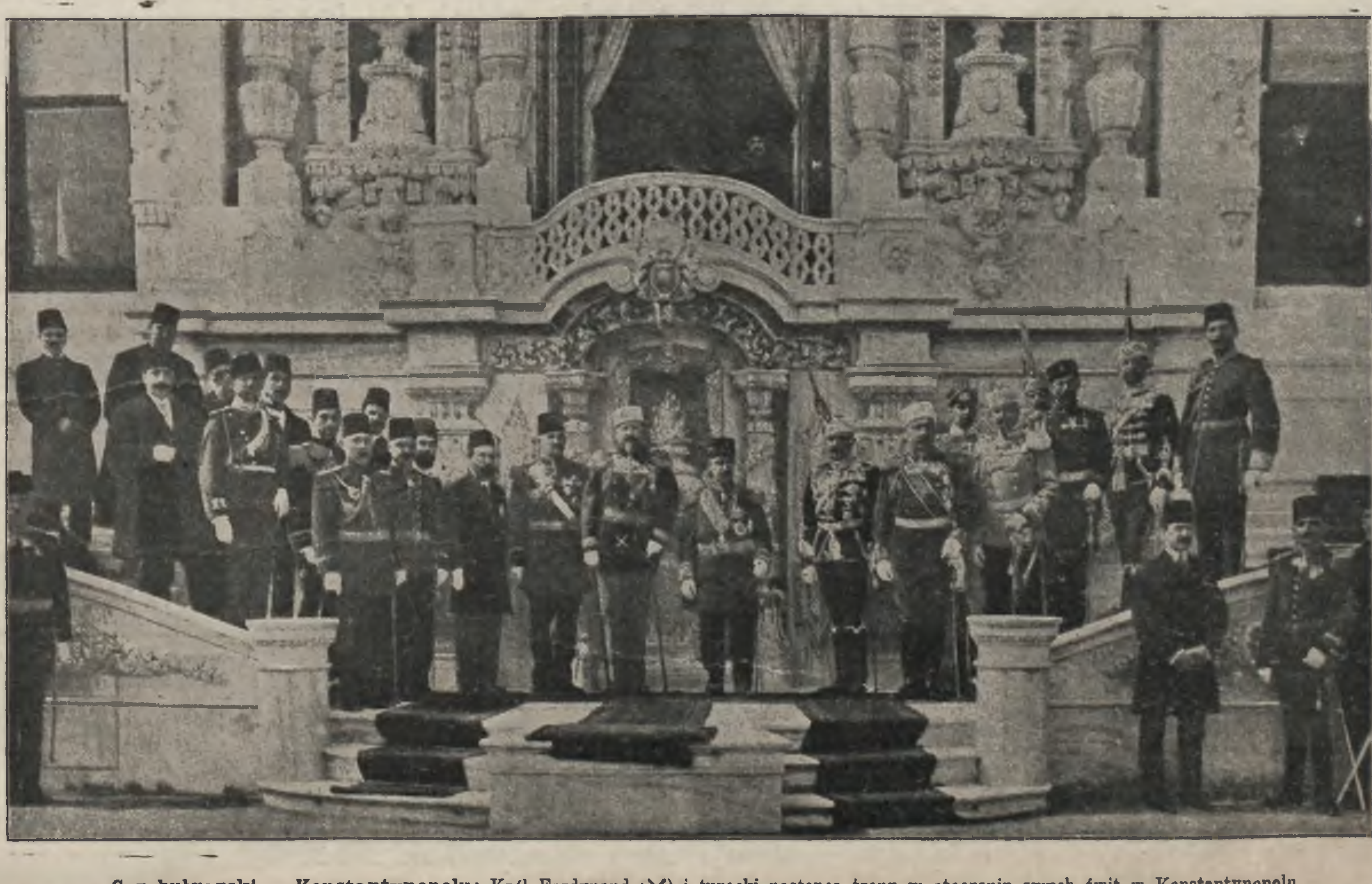


Hołd znakomitej artystce: Anna Gostyńska, otoczona kwiatami i wieńcami, otrzymanymi w dzień jubileuszu.

W owym to czasie między Turcyą a Bułgaryą doszło do takiego napięcia stosunków, że wybuch wojny groził każdej chwili. Powodem poważnego zatargu turecko-bułgarskiego była — jak wiadomo — kwestya ogłoszenia Bułgaryi niezależnem królestwem i kwestya odszkodowania względnie wykupu kolei wschodniej. Z biegiem czasu zaognione stosunki między obu państwami bałkańskiemi poczęły się łagodzić dzięki przystępnej polityce Porty, która przez zawarcie z Bułgaryą konwencyi konsularnej przynajmniej na gruncie interesów ekonomicznych umożliwiła wspólne pożycie poddanym obu państw, szczególnie w pasie nadgranicznym. Powoli zaczęły się też mnożyć fakty uspokajającej natury, tak że nawet ostatnie krwawe starcie nadgraniczne oddano do zbadania wspólnej komisyi śledczej, a parlament turecki specyalną uchwałą uregulował interesy bułgarskie w Macedonii, orzekając, że cerkwie i szkoły należeć mają do Bułgarów względnie do Greków i to w miarę tego, która narodowość w danej gminie ma przewagę liczebną. Rozpuszczenie przez Turcyę rezerwy, powołanej niedawno pod broń z powodu zajść nad granicą bułgarską, poświadczyło wymownie, że Turcya wobec swego sąsiada owianą jest jak najlepszemi intencyami.

Wizyta króla Ferdynanda w Konstantynopolu wypadła w czasie, kiedy wszystko przemawia za tem, że stosunki bułgarsko-tureckie wejdą na jak najlepszą drogę. Ze sprawozdań urzędowych widać, że przyjęcie niedawnego wasala Turcyi a dziś władcy niezależnego, wypadło nadzwyczaj wspaniale i okazałe, a co najważniejsze, nadzwyczaj serdecznie. Tak prasa stolicy tureckiej jak i ludność powitała i pożegnała króla Ferdynanda i jego małżonkę owacyjnie, co jest najlepszym dowodem, że propagowany przez Rosyę a w Konstantynopolu dobrze widziany sojusz państw bałkańskich, znajduje i w najszerszych warstwach społeczeństwa tureckiego sympatyczny oddźwięk.

Nie ulega też wątpliwości, że zjazd monarchów bałkańskich t. j. króla Ferdynanda i króla Piotra w Konstantynopolu, który miał miejsce w ostatnich dniach marca, nie pozostanie bez doniosłego wpływu na przyszłość i rozwój samodzielny państw bałkańskich, pragnących się wyzwolić z pod opieki mocarstw europejskich.



Car bułgarski w Konstantynopolu: Król Ferdynand (X) i turecki następca tronu w otoczeniu swych świt w Konstantynopolu.

Kanclerz niemiecki w Rzymie.

Chwiejące się od pewnego czasu trójprzymierze i utrzymywane obecnie tylko dzięki usilnym, choć niepopularnym staraniom rządów sprzymierzonych mocarstw, wsparła znowu na czas jakiś wizyta kanclerza Niemiec, Bethmanna-Hollwega w Rzymie. Cel tej wizyty miał charakter zupełnie analogiczny z celem niedawnej wizyty austryackiego ministra spraw zagranicznych, hr. Aerenthala, w Berlinie.

Krótki swój pobyt w stolicy państwa włoskiego uprzyjemniał kanclerz Rzeszy niemieckiej przechadzkami po przepięknych, pełnych pamiątek i starożytnych zabytków, placach i ulicach Rzymu. Czasu jednak na to nie wiele miał do dyspozycyi, ponieważ zabierały mu go przedewszystkiem konferencye polityczne z przedstawicielami włoskiego rządu i z ambasadorem Niemiec w Rzymie, v. Jagowem.

Jaki rezultat przyniosła wycieczka Bethmanna-Hollwega do słonecznego Rzymu i jakie skutki wynikną z konferencyi, w tym czasie odbytych, dziś oczywiście niepodobna przewidzieć. Są to, jak wszystkie sprawy „wyższej polityki", rzeczy ogromnie dyskretnej natury i ogół tylko przypadkowo i to po pewnym dopiero czasie cośkolwiek o tem dowiedzieć się może.

O ile cel swej podróży do Rzymu kanclerz Rzeszy osiągnął, to powinien być zadowolony, dotąd bowiem w najważniejszych swych występach nie miał szczęścia i na ogół nie wzbudził zaufania do swych talentów dyplomatycznych. Kilkakrotnie już atakowała go prasa niemiecka i to bardzo ostro. Rozpowszechniło się też zdanie, że nowy kanclerz nie dorósł do swych zadań i nie rokowano mu długich rządów.

W ostatnich czasach narzekania te ustały i zdaje się, że Bethmann Hollweg utrzyma się jeszcze długo na swem odpowiedzialnem stanowisku.

Jubileusz kolejarza.

Serdeczna i podniosła uroczystość odbyła się ubiegłej niedzieli w Sosnowcu. Pracownicy ekspedycyi stacyi kolejowych od Częstochowy do Sosnowca i Granicy, t. j. VI. oddziału działu handlowego drogi żelaznej Warszawsko-wiedeńskiej, zebrali się w kościółku kolejowym na mszy św., specyalnie celebrowanej przez miejscowego proboszcza, a następnie w mieszkaniu p. Henryka Bauma, znanego i zasłużonego kontrolora handlowego, aby mu złożyć życzenia z okazyi 30-lecia pracy etatowej przy D. Z. W. W. a 10 lecia na stanowisku zwierzchnika wyżej omawianego rewiru.

Imieniem obecnych i nieobecnych przemawiali do jubilata ekspedytorzy pp. Głowacki z Granicy i Buchacz z Częstochowy, podnosząc wielkie jego zasługi dla drogi żelaznej, oraz niezmordowaną pracę a wyrozumiałość i sprawiedliwość dla podwładnych. Za objawy sympatyi i serdecznej życzliwości oraz uznanie, podziękował wzruszony owacyą jubilat, poczem wręczono mu artystycznie wykonane album, zawierające fotografie wszystkich starszych współpracowników rewiru.

Uroczystość ta była pięknym wyrazem hołdu i uznania, na jakie kontrolor p. Baum przez swą wieloletnią działalność w całej pełni zasłużył. Jako człowiek wielkiej pracy, o charakterze niezwykle prawym i sprawiedliwym, powinien p. Baum stanowić piękny i godny naśladowania wzór dla wszystkich na polu kolejnictwa działających urzędników.

Kronika tygodniowa.

(Pierwszy tydzień wielkiego Krakowa. — Jak panowie rzeźnicy uświetnili aneksyę. — Uroczysty obchód. — Jubileusz „Naprzodu“. — Śmierć nieśmiertelnego Menelika. — Podróże władców bałkańskich. — Czy będzie wojna? — O galopujących, a nieuleczalnych suchotach kieszeniowych. — Nasz pech i kometa. — Astronomia Bilińskiego. — Rada państwa. — Stosunki parlamentarne. — Kto winien? — Bezmysł, czy chciwość? — Proces zagrzebski. — Roosevelt w drodze. — Ad limina Apostolorum).

Pierwszy tydzień Wielkiego Krakowa, choć poczętego w feralny dzień *primae Aprilis*, przeszedł najzupełniej spokojnie. Nie doznaliśmy żadnego poważniejszego wzruszenia, nie było nawet w Krakowie ani okolicy najmniejszej katastrofy ni też trzęsienia ziemi lub wybuchu prochowni, słowem epokowe to zdarzenie przeszło prawie niespostrzeżenie. Obiecywano, że z chwilą rozszerzenia Krakowa i przesunięcia rogatek miejskich poprawi się i powietrze w mieście, na razie jednak pozostało wszystko po dawnemu. Sąsiednie gminy przeszły już faktycznie pod berło Wielkiego Krakowa i dochodami swymi zasilać będą kasę stolicy, zdaje się jednak, że nie tak prędko doczekają się różnych ulepszeń, jakich z racyi przyłączenia mają prawo i mogą się spodziewać. Utworzono wprawdzie ekspozytury policyjno-magistrackie, dotąd figurujące na papierze, na tem jednak koniec. W każdym razie przyjemne uczucia rozsadzają serca mieszkańców gmin przyłączonych, nikt bowiem nie będzie mógł już powiedzieć: zwierzyniecki andrus lub łyk krowoderski albo dębnickie wybijokno, jeno: obywatel Wielkiego Krakowa.

Z chwili, kiedy Kraków stał się wielkim, skorzystali naturalnie panowie rzeźnicy i podwyższyli cenę mięsa o ośm halerzy na kilogramie, nie wypada bowiem, aby w Wielkim Krakowie ceny były tak niskie. Coby na to powiedzieli przyjezdni? Gotowi jeszcze myśleć, że są w jakiejś Pipidówce lub Psiej Wólce, a nie w stołecznem, królewskiem, wolnem i wielkiem mieście Krakowie. Za przykładem rzeźników pójdą zapewne i piekarze, którzy także narzekają na ciężkie czasy i to tak żałośnie, iż sami nawet uwierzyli, że im się źle powodzi! Słowem, jeśli pójdzie tak dalej, jak się zapowiada, to owa kometa Halleyowska, która ma nas zmieść z powierzchni ziemi, będzie tylko dobrodziejstwem, uratuje nas bowiem od głodowej śmierci.

Bardzo przyjemne uczucie ogarnia Wielkokrakowian; dowiedzieli się bowiem, iż celem uczczenia, aneksyi, ma się odbyć już w niedługim czasie uroczystość przyłączenia, na którą ma zjechać ekscellencya namiestnik i marszałek krajowy, kto wie, może nawet i jaki minister, albo też życzliwy sąsiad, n. p. poseł Ptak i marszałek Czecz, wielcy propagatorowie idei Wielkiego Krakowa. Odbędzie się uroczyste nabożeństwo dziękczynne, po niem posiedzenie Rady, wieczorem zaś tradycyjna gratisowa wyżerka w salach Starego Teatru. Ostatnim punktem programu cieszą się Krakowianie najbardziej i już dziś łykają ślinkę na samo wspomnienie przysmaków, którymi posilą nigdy nienasycone swe wnątrza. Uczta ta ma być balsamem, gojącym rany, jakie zadała aneksya ambicyi niektórych jednostek autonomicznych dygnitarzy, zdegradowanych do szeregu zwykłych zjadaczy codziennego chleba.

Byłbym niesprawiedliwym, gdybym nie wspomniał o jubileuszu, jaki w bieżącym tygodniu obchodził organ krakowskiej partyi socyalno-demokratycznej *Naprzód*. W dziesiątą rocznicę swego codziennego wychodzenia, wydał on numer jubileuszowy z czerwonym nagłówkiem, na tem się jednak skończyło, nie było ani wiecu, ani pochodu, ani nawet hańbowania, znak prawie pewny, że partya traci coraz bardziej na siłach, czyli innemi słowy, że uświadomieni robotnicy przyszli nareszcie do przekonania, że rzekomi obrońcy ich praw i postulatów nie wypełnili należycie poczynionych obietnic. Skonstatować należy, że na ruchu socyalnym wyszli najlepiej przywódcy, którzy pozabierali dla siebie najtłuściejsze kąski, czyli, jak to mówią, zrobili karyerę.

Opłakiwaliśmy także w ubiegłym tygodniu kilkakrotnie śmierć Menelika, który, uśmiercony przez prasę, przecież żyje i ani myśli umierać, zachęcony zaś przykładem swych koronowanych kolegów z półwyspu Bałkańskiego, wybiera się nawet w podróż do Europy. Dowiedział się mianowicie, że przyjęcie, szczególniej w Konstantynopolu było bardzo serdeczne, a jego sułtańska mość pozwolił swym gościom zwiedzać nawet swój harem, dotąd szczelnie zamknięty dla każdego niewiernego. Widoczne, że Turcy także się już zaczynają cywilizować!

Skoro zaczepiłem mimowolnie o politykę, to nie zaszkodzi wspomnieć, że pokój europejski właśnie po owych podróżach głów koronowanych zdaje się być na dłuższy czas zapewnionym, choć niektórzy polityczni strachajłowie utrzymują inaczej i czują już woń prochu. Odnosiłem się w tej sprawie do wszystkich naszych polityków tak krajowych jak i zagranicznych, zapewnili mnie jednozgodnie, że o wojnie ani słychu. Nie dowierzałem im jednak, dopiero ekscellencya Biliński potrafił mnie przekonać dwoma słowami: brak gotiu!

Och ten brak gotówki nie tylko ministrom daje się we znaki, stokroć bardziej narzekają na niego zwykli śmiertelnicy, nie mogący ani rusz związać końca z końcem. Myśleliśmy, że bodaj bank przemysłowy wyratuje nas z krytycznego położenia, zawiodła jednak i ta nadzieja, zanim bowiem sprawa przejdzie przez alembik różnych komisyi, ankiet i komitetów, galicyjski przemysł skończy swój doczesny żywot na uwiąd starczy lub inną jaką poetycznie nazwaną chorobę, którą jest dziedzicznie obciążony. Dr Doyen wynalazł podobno niezawodne lekarstwo na raka, jakoś jednak nie może się zjawić żaden uczony, któryby wynalazł jakoweś serum na galopujące suchoty kieszeniowe. Mógłby na nie pomódz chyba Dr Biliński, gdyby kazał otworzyć apteki, zwane c. k. urzędami podatkowymi i pozwolił z nich czerpać koronowe lekarstwa. Niestety jednak, minister skarbu zupełnie inaczej jest usposobiony i ani myśli dać coś z nagromadzonych zapasów, owszem zabrałby jeszcze, gdyby się tylko dało! Wody mineralne, woda sodowa, zapałki, piwo i wódka czekają na opodatkowanie, a gdy Rada Państwa zgodzi się nareszcie na wnioski pana ministra, zaczniemy wówczas pić z rozpaczy, co i nam i rządowi wyjdzie na cielesny i duszny pożytek: my zapomnimy bowiem o biedzie, która nas gniecie, a kasy rządowe wypełnią się koronami!

Zanim jednak nastaną te złote czasy powszechnego dobrobytu, musimy się kontentować garbatym losem, jaki nam przypadł w udziale. Sprzysięgło się wszystko na naszą niekorzyść, a przeklęty „pech“, tak nas ciągle prześladuje, że nie dziwiłbym się wcale, gdyby ogon Halleyowskiej komety zmiótł nas z powierzchni naszego planety, choć znów zapewnia jakiś poczciwy astronom. że ziemia przecież już w r. 1874 przeskoczyła ogon komeci, a nic się jej przecież nie stało. W tem tylko sęk, że w tamtym ogonie nie było podobno kwasu pruskiego.

Swoją drogą ekscellencya Biliński zapowiedział całkiem seryo, że absolutnie nie zgodzi się na koniec świata przed uchwaleniem mu nowej pożyczki w kwocie 182 milionów koron. Nieszczęśliwa ta sprawa, która pokutuje w parlamencie już od dłuższego czasu, po raz drugi ma wejść na porządek dzienny, niedawno bowiem nie zyskała potrzebnej większości. Pan Bienerth grozi, że jeśli mu się nie uda przeforsować owego przedłożenia, rozpędzi parlament na cztery wiatry i to bez dyet, a sam będzie się rządził jak szara gęś na podstawie § 14. Inny gabinet, doznawszy takiej porażki i przekonawszy się, że niema za sobą większości, byłby wynik głosowania przyjął jako votum nieufności dla siebie, ale p. Bienerth do tego już się przyzwyczaił i dalej próbuje szczęścia.

Pierwsze poświętalne posiedzenie Izby posłów zwołano na 14 kwietnia. Baron Bienerth rozpoczął rokowania ze stronnictwami i zamierza rekonstruować gabinet w myśl dawno już wyrażonych życzeń wszystkich stronnictw. Na porządku dziennym pierwszego posiedzenia chce Pattai mimo protestu Unii i socyalistów postawić na pierwszem miejscu projekt ustawy o pożyczce 182 milionów. Z tego powodu spodziewać się należy burzliwego głosowania, którego wyniku dotąd przewidzieć nie można. Wiele bardzo liczy rząd na Koło Polskie, które przejdzie znów ogniową próbę, nie wiadomo bowiem, czy uda mu się głosować za przedłożeniem rządowem i dać w ten sposób nowy dowód swej lojalności.

Upór rządu, który dotąd faktyczną większością nie rozporządza, dezorganizuje całą dziełalność Izby. Większość jej znajduje się w opozycyi, a mimo to baron Bienerth usiłuje stan ten przedłużyć, nie ma wcale zamiaru ustąpić, obiecuje rekonstrukcyę tylko półgębkiem, aby się wykręcić z matni i próbuje walki z większością i to jeszcze przy tak niesympatycznej sprawie, jak sprawa nowej pożyczki.

Słusznie też zauważa jedno z pism politycznych, że owa taktyka jest dla ludności wprost niezrozumiała. Trudno poprostu dorozumieć się, co rządowi dyktuje tę szaloną taktykę: bezmysł, czy też chciwość niektórych ministrów, którzy boją się, by przypadkiem z okazyi rekonstrukcyi nie znaleźli się w szeregu używających dobrze zasłużonego stanu spoczynku. Choćby zresztą odnowiono gabinet, niczego nowego ani lepszego spodziewać się po nim nie można, wszystkie zespoły polityczne w Austryi są do siebie podobne jak dwie krople wody, każdy z nich jest tylko sługą wszechmocnej biurokracyi a nie liczy się wcale z wolą i potrzebami ogółu.

Skoro tedy nie można się niczego lepszego spodziewać z racyi rekonstrukcyi gabinetu, tem baczniejszą uwagę powinno się zwrócić na parlament, który niestety wiedzie tak apatyczny żywot, iż ani rusz nie można się dopatrzeć owoców jego pracy. Wielką winę ponosi w tym wypadku rząd, który w myśl tradycyjnej zasady: *divide et impera* — judzi przeciw sobie stronnictwa, aby tem łatwiej módz każde z osobna wodzić na pasku wedle swojej woli.

Zresztą niezbadane są tajniki głębokiej polityki tak u nas, jak i wogóle wszędzie. Mamy znów najświeższy dowód na sławnym procesie zagrzebskim, który toczył się przez kilka miesięcy, pochłonął ogromne koszta (n. b. w obronie świętych zasad narodowych), a to jedynie tylko po to, aby wyrok zniesiono i polecono rozpocząć dochodzenia *ab ovo*.

Wielką część winy przypisać jednak musimy sami sobie i z ręką na sercu powiedzieć, że nie dorośliśmy jeszcze do samodzielnego życia politycznego, ale potrzebujemy guwernantek, któreby kierowały naszymi krokami. Dziwię się też Egipcyanom, że obrazili się na ex-prezydenta Roosevelta, który w publicznym odczycie zaznaczył, iż nie dorośli oni do życia konstytucyjnego, skoro bowiem my to o sobie możemy powiedzieć, nie powinni się o to Egipcyanie gniewać, chyba w myśl zasady, że „prawda w oczy kole“.

Pan Roosevelt, idąc w ślady niektórych „wielkich“, po polowaniach na nosorożce i hipopotamy zawitał do Europy, a ponieważ tu znów panuje inna moda, pozwala się interwiewować i wygłasza polityczne mowy i odczyty. Zapowiedziany jego przyjazd do Krakowa i odczyt: „Jak powinniśmy święcić pamiątkę Grunwaldu“? nie przyjdzie do skutku ex-prezydent dowiedziawszy się bowiem o opozycyi stańczyków, a nie chcąc sobie ich zrażać, postanowił ominąć Kraków i chyba zupełnie incognito zjawi się tu na parę godzin, aby ujrzeć naocznie nasze znakomitości i zwiedzić osobliwości. Powiadają, że zamierza on osiąść u nas na stałe i w tym celu przez swego pełnomocnika traktuje już o nabycie kawałka z gruntów pofortyfikacyjnych, gdzie zamierza założyć prawdziwy bar amerykański, któryby mu na starość zapewnił kawałek uczciwego chleba.

I pan Bethmann-Hollweg, kanclerz niemiecki, podróżuje, a świeżo znalazł się w Rzymie, gdzie miał zadzierżgnąć rozluźnione nieco więzy trójprzymierza, a zarazem wyrobić sobie w Watykanie monopol na strzyżenie katolickich owieczek, podległych Hohenzollernom. Czy mu się to udało, nie wiem, spodziewam się jednak, że Prusacy mają ciągle apetyt na katolików niemieckich i radziby i przez kościół prowadzić germanizacyę. Pan Bethman miał właśnie papieżowi wytłómaczyć, że Polacy niesłusznie narzekają na ucisk, bo oni są wilkami, a Prusacy biednemi, ciągle przez nich ciemiężonemi owieczkami!

Że mu przy tem kłamstwie język nie skołczał, lub że się nie udławił własnemi słowami, to doprawdy cud. Zapewne liczył na to, że znajduje się w świętem miejscu, to złe jednak, chociaż lutra, przecież go ominie.

X.

Katastrofa balonu niemieckiego.

W ostatnich dniach kronika aeronautyczna zapisała się znowu licznymi tragicznymi wypadkami, które z grona śmiałych żeglarzy wyrwały kilka ofiar. W San Sebastjan rozbił się o skały nadbrzeżne awiator Leblon, w Pradze uległ nieszczęśliwemu wypadkowi Hieronymus, na Pomorzu zginął tragiczną śmiercią prof. Abegg z Wrocławia, podczas lądowania balonu „Schlesien", a na morzu Bałtyckiem wydarzyła się straszna katastrofa balonu „Pommern", w którego łodzi znajdowało się czterech niemieckich aeronautów.



Wstrząsająca katastrofa: Pogrzeb ofiar katastrofy we wspólnym grobie na cmentarzu w Oekoerito.

Balon „Pommern", należący do poznańskiego związku żeglugi powietrznej, wzniósł się w Szczecinie w ubiegłą niedzielę przed południem w powietrze. W gondoli znajdowali się: poseł do sejmu pruskiego, dr. Delbrück, radca budownictwa Benduhn, prokurzysta Semmelhack i kupiec Hein. Śmiałych żeglarzy nie odstraszyła od przedsięwzięcia silna wichura, która groźną okazała się już w czasie przygotowania balonu do wzlotu. Gdy balon wypuszczono, wiatr rzucił nim odrazu na druty telegraficzne, obok gazowni, które częściowo rozdarły sieć, wiążącą łódź z balonem. Stokroć groźniejsze w skutkach było zderzenie się balonu z kominem fabrycznem, przyczem komin częściowo został zburzony. Wskutek uderzenia gondoli o komin, odnieśli prawie wszyscy aeronauci poważne obrażenia i uszkodzenia cielesne. Prof. Delbrück, kierujący balonem, odniósł ciężkie rany na głowie i złamał nogę, radca Benduhn złamał nogę i rękę. Inni dwaj pasażerowie balonu od uderzeń utracili przytomność. Wicher gnał balon w kierunku morza. Ratunkiem dla zdanych na łaskę losu i rannych aeronautów, mogło być tylko jak najszybsze wylądowanie. Niestety lina od wentylu została zerwaną i o wylądowaniu nie mogło być mowy. Tymczasem balon pędził z niezwykłą szybkością nad morze. Ratunek byłby jeszcze możliwym, gdyby aeronautom udało się przepłynąć Bałtyk i dostać się do Szwecyi. Ale żaden z jadących balonem **nie wierzył w tę możliwość**, tem bardziej, że wszystkich z powodu odniesionych poprzednio ran i upływu krwi, opuszczały już siły.

O niesieniu pomocy zagrożonym żeglarzom nie mogło być mowy. Burza, szalejąca na morzu, zmusiła nawet statek „Moltke", wysłany umyślnie celem niesienia pomocy żeglarzom w razie opadnięcia balonu na morze, do powrotu do portu. Prof. Delbrück widząc, że sytuacya staje się coraz bardziej krytyczną, nie namyślając się długo, chwycił się ostatniego ale najryzykowniejszego środka ratunku. Pociągnął za linę, rozdzierającą powłokę balonu i balon ze straszną siłą spadł na powierzchnię morza. Mimo upadku z szalonej wysokości, wszyscy zdołali się szczęśliwie wydobyć z łodzi balonu. Z powodu braku sił i zbyt późno nadeszłej pomocy, poczęli tonąć jeden po drugim. Łodzie rybackie, które widząc katastrofę, podpłynęły do rozbitków, zdołały zaledwie wyratować prokurzystę Semmelhacka, który najdłużej zdołał się utrzymać na powierzchni wody.

Wiadomość o strasznej katastrofie wywołała w całych Niemczech nadzwyczaj przykre wrażenie. Balon „Pommern" miał pojemności 1600 m. sześciennych i był własnością pomorskiego Związku żeglugi powietrznej.

Rycina nasza przedstawia moment przed wzlotem balonu „Pommern".



Katastrofa balonu niemieckiego: Balon „Pommern" w chwili przed wzlotem.



Sensacyjna rewizya w Warszawie: Ks. prałat Chełmicki.

Sensacyjna rewizya w Warszawie.

Jak już w swoim czasie donosiliśmy, bawi w Warszawie od kilku tygodni senator Neudhardt, celem przeprowadzenia w stolicy Królestwa Polskiego i okolicy ogólnej rewizyi senatorskiej. W pracach senatora Neudhardta zaszedł w ubiegłym tygodniu sensacyjny zwrot. Oto w zupełnej tajemnicy, zarządzono w nocy z piątku na sobotę równocze-

sną rewizyę w Warszawie, Łodzi i innych miastach Królestwa, oraz w całem imperyum rosyjskiem, celem wykrycia nadużyć intendantury wojskowej.

Rewizyą w Królestwie kierował senator Neudhardt, mając w samej Warszawie do dyspozycyi



Sensacyjna rewizya w Warszawie: Senator Neudhardt

150 urzędników sądowych śledczych, oraz około 630 osób z pomiędzy oficerów policyi, rewirowych i policyantów.

Rewizyi dokonywano przeważnie u wszelkich dostawców, liwerantów i kupców, mających styczność z zarządem intendantury, a także u dwóch generałów intendantury. Członkowie komisyi przeglądali wszędzie przedewszystkiem księgi handlowe, korespondencye, rachunki, wogóle wszystko, co mogło poinformować o rodzaju stosunku danej osoby z intendanturą. Odnośne księgi i dokumenty rewidenci pozabierali i przenieśli do kancelaryi oberpolicmajstra.

Rewizya ta podobno nagromadziła bardzo wiele materyału obciążającego, w rezultacie też parę osób aresztowano.

O ile wogóle rewizya senatorska, w tak tajemniczy, a raptowny sposób przeprowadzona, stała się sensacyą dnia, o tyle pewien jej szczegół wywołał niesłychanie wielkie i głębokie wrażenie. Mianowicie rewizya w t. zw. „Domach zarobkowych" i u ich twórcy, ks. prałata Chełmickiego.

Domy zarobkowe powstały w roku 1905 w czasie zamieszek rewolucyjnych, w celu przyjścia z pomocą rzemieślnikom i robotnikom, pozbawionym pracy i otrzymały część zamówień dla wojska, zwłaszcza że jeszcze toczyła się wojna rosyjsko-japońska. Przedsiębiorstwo rozwijało się bardzo ładnie i pełniło rolę instytucyi naprawdę filantropijnej, nietylko bowiem dostarczało zarobku wielu robotnikom, ale z dochodów przeznaczało bardzo wiele na cele publiczne.

Po pewnym czasie, gdy wojna ustała, ks. Chełmicki przystąpił do spółki z gronem spekulantów-kapitalistów i zamienił „Domy zarobkowe" na potężne przedsiębiorstwo, zatrudniające we własnej realności, przy ulicy Czerniakowskiej około pięć tysięcy robotników, przy pomocy najnowszych urządzeń technicznych. Przedsiębiorstwo to, mające kil-



Fot. Oszkar Kallós Budapeszt.

Wstrząsająca katastrofa: Ogólny widok miejsca katastrofy. Zgliszcza szopy w Oekoerito na Węgrzech, gdzie podczas pożaru zginęło przeszło 350 osób.



Stuletni starzec: Ksawery Grzybowski, z gubernii płockiej.



Jubileusz kolejarza: Kontrolor drogi W. W. Henryk Baum.

ka milionów rubli kapitału, dostarczonych przeważnie przez bogatych żydów, konkurowało poważnie z innemi przedsiębiorstwami dostaw dla wojska, a zatrzymało na zewnątrz cechy instytucyi filantropijnej.

W rzeczywistości jednak były „Domy zarobkowe“ przedsiębiorstwem czysto kapitalistycznem, a filantropię zupełnie zarzuciły. Nadto było rzeczą powszechnie znaną, iż wyzyskiwano tam siły robocze, rekrutujące się z pośród najbiedniejszych robotników, pozbawionych chleba i z konieczności szukających przytułku i pracy w „Domach“. Nigdzie też może nie było tyle strajków, jak właśnie w warstatach „Domów zarobkowych“.

Ze względu zaś na to, że „Domy zarobkowe“ pozostawały w stosunkach z intendanturą wojskową i że były pogłoski o pewnych nadużyciach, popełnionych przez zarząd „Domów“ w porozumieniu z intendanturą, senator Neudhardt zarządził rewizyę i w biurach zarządu i u ks. Chełmickiego.

Wobec stanowiska, jakie ks. prałat Chełmicki zajmował wśród obywatelstwa Warszawy, rewizya ta wywołała łatwo zrozumiałą sensacyę.

Ryzykowny skok.

Anglia jest nazywaną od dawna ojczyzną sportu. W określeniu tem niema też wcale przesady. W dziedzinie sportu Anglicy do niedawna jeszcze byli niepokonanymi na całej linii i dziś jeszcze w niektórych gałęziach sportu nie mają równych na kontynencie. Ten niezwykły rozwój sportu w Anglii, a równocześnie i zainteresowanie niebywałe społeczeństwa angielskiego, wszelkiego rodzaju igrzyskami i konkurencyami sportowemi, doprowadziło nawet do wytworzenia się tam zawodowych sportsmenów t. zw. professyonalistów.

Nie można powiedzieć, by ten niezwykły rozwój sportu i zamiłowanie doń nie miał i korzystnych stron dla społeczeństwa. Najlepiej daje się to odczuć w armii angielskiej, która rozporządza n. p. żołnierzami do tego stopnia wytrenowanymi w biegu, że z łatwością przebywają biegiem bez najmniejszego zmęczenia przestrzeń kilkunastu kilometrów.

Również jako jeźdźcy cieszą się Anglicy sławą światową, a dżokieje angielscy są poszukiwanymi przez wszystkich większych właścicieli stajen wyścigowych. O ile u nas sport wyścigowy należy do zbytku, w Anglii młodzież uniwersytecka a nawet specyalne kluby sportowe oddają się z zamiłowaniem jeździe konnej, a szczególnie jeździe z przeszkodami. W ojczyźnie sportu konnego większą sensacyę, niż wyścigi zawodowych dżokei, budzą głośne wyścigi studentów uniwersytetu w Oxfordzie i Cambridge.

Do jakiej brawury dochodzi w Anglii sport konny, daje nam wyobrażenie fotografia, przedstawiająca skok oficera angielskiego przez żywą przeszkodę.



Wstrząsająca katastrofa: Odszukiwanie resztek zwęglonych zwłok.

Oto na ławce 1 m. wysokiej, ułożyło się 3 kawalerzystów, a przez nich skacze, nie trzymając nawet cugli w ręku, jeden z oficerów kawaleryi, stacyonowanej w Cambridge.

Skok ten. wykonany na ostatnich popisach wojskowych w Cambridge, wywołał niesłychany entuzyazm wśród tysiącznej publiczności.



Ryzykowny skok: Skok oficera kawaleryi przez żywą przeszkodę na popisach wojskowych w Cambridge.

Ustąpienie prezydenta poczty we Lwowie.

Dzienniki przyniosły tymi dniami wiadomość o ustąpieniu z zajmowanego od szeregu lat stanowiska dyrektora, a od półtora roku prezydenta dyrekcyi poczt we Lwowie, p. Jana Lubicz Seferowicza i o przejściu jego na emeryturę.

Ustępujący prezydent należał do bardzo dzielnych i energicznych urzędników i położył w ciągu swej wieloletniej działalności ogromne zasługi około podniesienia, rozwoju i ułatwienia komunikacyi pocztowej i telegraficznej w Galicyi, a takt i uprzejmość wobec stron, zjednały mu sympatyę wśród publiczności.

Prezydent Seferowicz, urodzony 1846 r. w Dubienku, ukończył studya prawnicze na uniwersytecie we Lwowie, poczem pracował kolejno w magistracie we Lwowie, w ministeryum Galicyi, w dyrekcyi kolei w Krakowie i w ministeryum handlu, wreszcie został dyrektorem poczt i telegrafów we Lwowie; w r. 1902 przyznano mu *ad personam* IV rangę, a w 1908 r. otrzymał tytuł prezydenta poczt.

Zajmowane dotąd przez p. Seferowicza stanowisko, obejmie dotychczasowy szef biura prezydyalnego, radca dworu Ryszard Wopaterni.



Ustąpienie prezydenta poczty we Lwowie: Jan Lubicz Seyferowicz.

Hołd znakomitej artystce.

Teatr lwowski był w piątek w ubiegłym tygodniu widownią ogromnie sympatycznej i prawdziwie nastrojowej uroczystości na cześć znakomitej polskiej artystki dramatycznej, Anny Gostyńskiej, z okazyi trzydziestolecia jej pracy na lwowskiej scenie. O zasługach jubilatki dla polskiej sztuki, o jej wielkim talencie i działalności w lwowskim teatrze, pisaliśmy w numerze poprzednim, dziś więc tylko w krótkości zdamy sprawę z uroczystości jubileuszowej.

Teatr był przepełniony, co samo świadczyło wymownie o nadzwyczajnej sympatyi, jaką się p. Gostyńska cieszy wśród publiczności lwowskiej. Przed rozpoczęciem przedstawienia wyprowadzono p. Gostyńską na otwartą scenę, gdzie zebrany był cały personal artystyczny teatru, oraz szereg delegacyi, z wieńcami i kwiatami.

Na wstępie przemówił do zasłużonej artystki dyrektor L. Heller, kreśląc wymownie wybitne zasługi jubilatki, około sceny lwowskiej położone. Następnie imieniem kolegów przemówił p. Walewski, a imieniem autorów polskich dyr. Gawalewicz, wreszcie imieniem koła dramatycznego jego prezes p. Krzyżanowski, wręczając p. Gostyńskiej dyplom członka honorowego. Składali nadto życzenia delegaci towarzystw, między innymi p. Nowicka imieniem Pań T. S. L., a grono powstańców z p. Gustawem Fiszerem, znakomitym artystą, imieniem uczestników ostatniej walki o niepodległość. Była to chwila najbardziej wzruszająca, gdy do sędziwej artystki zbliżył się p. Fiszer, jeden z jej najstarszych kolegów, aby złożyć jej życzenia. Wzruszenie nie pozwoliło mu jednak dokończyć przemówienia.

W czasie owacyi, przepełniona widownia rozbrzmiewała co chwila hucznymi oklaskami, nadto zasypano jubilatkę kwiatami i wieńcami. Owacye dosięgnęły kulminacyjnego punktu po przemówieniu p. Gostyńskiej, która, tłumiąc łzy, podziękowała serdecznie za uznanie i zapewniła o sympatyi swej dla teatru lwowskiego i publiczności. Przyrzekła też artystka pracować na scenie ukochanej tak długo, jak długo starczą jej siły.

Po tej owacyi odegrano jednoaktówkę Rydla „Z dobrego serca“, a następnie komedyę Fredry „Ciotunia“, z jubilatką w roli tytułowej. Zbyteczne chyba dodawać, że w roli tej rozwinęła p. Gostyńska cały czar swego bogatego talentu i porwała widzów.

Stuletni starzec.

Wzdychamy zawsze do starości, życzymy sobie nawzajem starych lat, nikt jednak nie zastanawia się nad tem, że podeszły wiek nie jest niczem przyjemnem, zwłaszcza jeśli do tego brak człekowi owego marnego kruszcu, który jest tak nieodzownie potrzebny. A jeśli nadto w późnych latach znajdzie się człowiek nie tylko bez środków do życia, ale i bez spokojnego kątka, gdzieby mógł głowę skłonić, to już los jego godnym jest pożałowania.

W tem położeniu znalazł się stoszeście-letni staruszek, który po długich wędrówkach przybył w ubiegłą niedzielę do Krakowa. Ksawery Grzybowski, pochodzący z gubernii płockiej, po trzydziestu kilku latach pobytu na Syberyi, skąd dopiero przed niespełna miesiącem powrócił, postanowił udać się do Lwowa, aby tam spędzić ostatnie lata swego życia. Po drodze zatrzymał się w Krakowie, brak sił i środków materyalnych stanęły na przeszkodzie dalszej podróży nieszczęśliwego staruszka. Z pochwały godną troskliwością zajęło się jego losem Polskie Towarzystwo Emigracyjne, które udzieliło mu gościny, a niewątpliwie znajdą się i inni poczciwi ludzie, którzy postarają się o to, aby starowina bodaj ostatnie lata swego tułaczego żywota spędził w spokoju i jakiej takiej wygodzie. Mamy przecież tyle dobroczynnych instytucyi, powinno więc w którejś z nich znaleść się dla niego miejsce i przytułek.



Wstrząsająca katastrofa: Wybieranie resztek popalonych zwłok i przewożenie ich na wozach na cmentarz.

Rozwiązanie zagadek z Nr. 13.

Zadanie przysłowiowe: Człowiek jest sam kowalem swego losu.

Łamigłówka literacka:

Gad
Lalka
O tron
Raj
Ideo'og
Anioł śmierci
Violetta
Iluzya
Chata za wsią
Tuzy
Iliada
Syn marnotrawny

Zadanie do przestawienia: Kto mieczem wojuje, ten od miecza ginie.

Logogryf.

M
p a w
m o r z e
M a t y l d a
A s t r a c h a n
M a r y a S t u a r t
S t u t t g a r t
J a m u l u s
g i a n r
a r a
t

Szarada: Karolina.

Zadanie do przestawienia: Nikt się świętym nie narodził.

Szarada: Mandolina.

Rebus: Gdy zbrodzień bezkarnie broić zamyśla, pokrywa się maską cnoty.

Dobre rozwiązania nadesłali Pp: O. Górkowa Chyrów, M. Planecka Kraków, F. Gebhardt Kraków, S. Ostaszewska Lwów, W. Ossowski Warszawa, A. Biliński Tarnopol, J. Türk Sambor, G. Teitelbaum Sanok, A Wyka Kraków, J. Zachara Lwów, M. Lasocki Jaworów, R. Idzikowski Poznań, G. Słonimski Częstochowa, J. Cichocki Krosno, L. Wiktor Jasło, K. Dębiński Warszawa, M. Lemiszewska Kołomyja, J. Stera Warszawa, W. Ostrowski Kalisz, M. Kalinowska Sandomierz, R. Breit Łódź, W. Lasociński Lwów, Z. Wyszykowska Radom, K. Fuchs Czeremchów, T. Macieliński Jabłonica, K. Kamocki Radomyśl, M. Hofmann Lwów, B. Popiel Warszawa, J. Bandrowski Lwów, K. Lisiecki Kraków, J. Kwaśnicki Przemyśl, M. Świrska Sandomierz, R Silnicki Kraków, W. Thun Warszawa, R. Wang Tarnów, J. Engelberg Rzeszów, K. Diamant Tarnobrzeg, M. Łuczko Warszawa, J. Klappolzh Jarosław, S. Jaśkiewicz Jasło, M. Kozakiewicz Jasionów, W. Bieda Rzeszów, K. Karpiński Podgórze, M. Lewicki Peczeniżyn, S. Stawarski Warszawa, H. Mianowski Lwów, J. Funkenstein Drohobycz, S. Karwowski Kołomyja, M. Berger Kraków, H. Ciosowski Płock, M. Gryglaszewska Petersburg, S. Krzyżanowski Podgórze, J. Lipecki Częstochowa, J. Butrymowicz Czerniowce, J. Żych Lwów, R. Kopystyński Wiedeń, M. Bystrzycka Złoczów, J. Radoń Kraków, A. Mańkowski Sanok, S. Sygmarska Rozwadów, J. Martynowicz Tarnopol, K. Łapiński Warszawa, H. Federowicz Sosnowiec, M. Richter Chrzanów, H. Winnicki Lwów, J. Berger Lwów, M. Podolińska Kraków, W. Potocka Kraków, M. Krawczyk Radom, Z. Brodziński Stanisławów, J. Wojkowski Sanok, M. Ratyńska Jaworzno, H. Skoczyński Lisko, J. Abramowicz Kraków.

Nagrodę przez losowanie otrzymał **K. Lisiecki Kraków.** Upraszamy o nadesłanie 35. hal. na koszta poleconej przesyłki.

Głosy publiczne.

Przed obchodem grunwaldzkim. Od dyrektora tow. muzycznego w Krakowie, Feliksa Nowowiejskiego, otrzymaliśmy następującą odezwę, z prośbą o zamieszczenie: Wielmożni Panowie! Zaszczycony wezwaniem Komitetu Grunwaldzkiego do objęcia kierownictwa części wokalno-muzycznej obchodu w dniu 15 lipca b. r., zwracam się do W. Panów z prośbą o łaskawy współudział w uroczystości odsłonięcia pomnika Jagiełły. Prosząc o podanie ilości członków (ile głosów i jakie?), donoszę, że generalna próba odbędzie się 14 lipca o godz. 5-tej w Sali Starego Teatru, plac Szczepański L. 1. Program:
1). „Boga Rodzica“ na chór unisono z orkiestrą.
2). „Hymn Grunwaldzki“ na chór 4-ro głosowy z orkiestrą.

Oczekuję przychylnej odpowiedzi najdalej do dnia 15. kwietnia. Nuty prześlę po otrzymaniu definitywnego zawiadomienia.

Z poważaniem
Feliks Nowowiejski
Dyrektor Towarzystwa Muzycznego Kraków — Plac Szczepański L. 1.

Cyrk Edison: Sensacyą programu od piątku dnia 8 go. do czwartku dnia 14 go. b. m będzie najnowsze zdjęcie „Strasznego wybuchu Etny, groźnego wulkanu w poł. Włoszech“.

Reszta programu składa się ze zdjęć dramatycznych i humorystycznych.

Z półek księgarskich.

MACIERZ POLSKA wydała książeczkę zasłużonego popularyzatora. inspektora Mikołaja Niedźwieckiego, p. t. **Zwalk tatarskich.** Autor rozpoczyna od opisu pierwszych trzech napadów, poczem kreśli napady dalsze, daje plastyczne, czasem groźne obrazy niewoli tatarskiej, opowiada o osadnictwie polskiem na ziemiach czerwonoruskich, mówi o powstaniu i znaczeniu zamków i zameczków obronnych, kończy zaś pracę piękną apostrofą do obecnego pokolenia, spadkobiercy bohaterskich przodków. Książeczkę zdobi 11 rycin, cena 30 hal.

Kącik humorystyczny.

Z pod znaku Marsa.

W czasie wielkich ćwiczeń, na których obecnym był i sam cesarz, zauważył komendant pułku, że monarcha chwilkę zaszczycił rozmową jednego z oficerów jego pułku. Zaciekawiony, coby mogło być przyczyną, skorzystał z pierwszej sposobności i zapytał porucznika, co najjaśniejszy pan miał do niego za interes.

— Melduję posłusznie, panie pułkowniku, najjaśniejszy pan wyraził mi swe najwyższe uznanie za sposób, w jaki oddział swój wyprowadziłem w linię bojową.

— A jak się on nazywa? — pyta pułkownik, który był wielkim arystokratą.

— Porucznik X! — brzmi odpowiedź.

— Zapewne szlachcic?

Krótka pauza, arystokratyczne dmuchnięcie i słowa:

— No! No!...

Odpowiedzi Redakcyi.

WP. Jan Badura, Rożdzień: Zastosnjemy się do życzenia. Czy nie byłoby lepiej, gdyby ktoś z Pań-kich znajomych w czasie bytności w Krakowie zgłosił się w Redakcyi i sam odebrał?

WP. S. Faliszewski, Baligród: Umieścimy w miarę miejsca.

WP. Marya, Rzeszów: Umieścimy.

WP. J. Burliga, Lwów i K. J. Onyszkiewicz, Lwów: Wynik losowania co do nagrody 100 koron podamy w jednym z najbliższych numerów.

WP. E. Bogdalska, Koropuż: Wyślemy na koszt Pani.

WP. K. Stamirowski, Skała: Zagadki umieszczamy w miarę miejsca, a teka redakcyjna jest w nie bardzo obficie zaopatrzona, stąd też opóźnienie.

WP. W. Strzelbicka, Buczacz: Czek wysłany. Czas wychodzi sześćdziesiąty trzeci rok, bliższy adres: ul. Tomasza l. 32. Prenumeratę można nadsyłać i przekazem.

Fryderyk Mauzens.

PARYSKIE GADY.

4

Nowe dla niego zwyczaje i obyczaje tego kraju zwróciły jego uwagę. Przejęła go także sprawa, jaką mu zlecił ojciec. Został wciągnięty w pęd życia amerykańskiego i bez zwłoki udał się zaraz do pełnomocnika ojcowskiej fabryki.

— Ojciec mój — rzekł po wytłómaczeniu celu swej podróży — utrzymuje, iż możemy znaleść tu pomoc finansową i założyć wielką fabrykę...

— I ja tak sądzę — potwierdził pełnomocnik.

— Mówił mi mianowicie o wielkim finansiście... Lewisie Jacksonie...

— Właśnie obecnie jest w Nowym Jorku.

— Czy ma znaczny majątek?

— Około tysiąca stu milionów...

— Więcej niż miliard!

— I sam się wszystkiem zajmuje, jak zresztą przeważna liczba naszych miliarderów... Ma dopiero czterdzieści pięć lat... Zaczął w dwudziestym siódmym roku z kilkudziesięcioma tysiącami franków... Obecnie prowadzi interesy w całych Stanach Zjednoczonych.

— Jakiego rodzaju są te interesy?

— Wszelkiego... Banki, kupno i sprzedaż ziemi, karczowanie, plantacye, drogi żelazne i wodne, fabryki, trusty, jednem słowem wszystko i wszystko udaje mu się, czego się dotknie...

— Mówi pan, że jest w Nowym Jorku?

— Od kilku dni... Mieszka zazwyczaj w Chicago... W gruncie jednak rzeczy, jeżdzi ciągle od Atlantyku do Pacyfiku, od Meksyku do Kanady... Jego prawdziwem mieszkaniem jest własny wagon kolejowy...

Piotr udał się do hotelu, w którym zatrzymał się słynny business-man i kazał się zaanonsować. Najpierw jakiś urzędnik zatelefonował i po otrzymaniu odpowiedzi, oddał Piotra w ręce negrowi. W chwilę potem winda unosiła ich obydwu na dziewiąte piętro. Negr, poprzedzając Piotra, wszedł na korytarz i zapukał do drzwi, które się też zaraz otworzyły. Jakiś poważny jegomość w białym krawacie, który się potem okazał przybocznym kamerdynerem Lewisa Jacksona, skłonił się nisko przed przybyłym. Miliarder nigdy nie podróżował bez swego osobistego służącego i sekretarza.

Po przejściu przez przedpokój, wprowadzono Piotra do wspaniale urządzonego salonu, do którego po kilku chwilach wszedł sam Lewis Jackson. Był to wysoki, szczupły mężczyzna, o wygolonej i pomarszczonej twarzy, która miała jakiś ostry i stanowczy wyraz. Szare, głęboko osadzone oczy, patrzyły zimno i przenikliwie.

— Dzień dobry siostrzeńcze! — rzekł żywo, podając rękę swemu gościowi.

Oczy młodego człowieka zaokrągliły się.

— *Well!* — ciągnął dalej Lewis Jackson. — Nie przypuszczałeś, że masz wuja w Ameryce. Jestem wujem z Ameryki, ale na modę bretańską, gdyż jestem tylko kuzynem twego ojca!

— Przepraszam... — rzekł Piotr. — Nie rozumiem.

— *Hallo!* Czyś nie słyszał o pewnym Julianie Maixent?

— Owszem... Musiałem go nawet widzieć, gdy byłem małym...

— *Well!* Dzisiaj widzisz go znowu!

Piotr uścisnął machinalnie rękę, którą mu podał business man. Ten zaś mówił dalej:

— Ze wszystkich osób, które znałem we Francyi, ciebie spotykam pierwszego, mój chłopcze... Zmieniłeś się trochę... Trudno! Gdym cię widział po raz ostatni, miałeś dopiero cztery lata.

Zdumiony Piotr jąkał się:

— To pan jest tym krewnym, którego mój ojciec uważał za umarłego?

— Ach! Miał mnie za umarłego?

— Lecz pan się nazywa Lewis Jackson...

— Przenosząc się tutaj, chciałem stworzyć sobie nowe życie i zatrzeć w swej pamięci przeżyte dni... Zmieniając kraj i zajęcie, zmieniłem także nazwisko, by nic mi nie przypominało przeszłości...

— I został wuj miliarderem?

— Do twych usług, mój chłopcze! *Well!* Ponieważ nie znasz historyi Juliana Maixenta, nie przyjechałeś więc tu jako siostrzeniec... Czego pragniesz?... Zachowałem dobre wspomnienie o twej rodzinie i jestem szczęśliwy, że mogę być ci pożytecznym...

Przerwał, by spojrzeć na chronometr.

— Już jedenasta. Zjesz śniadanie ze mną?

— Ale...

— *All right!* Niema żadnego ale! Zabieram cię z sobą!

I miliarder przeszedł w towarzystwie Piotra do przedpokoju, gdzie służący podał mu futro, podbite niebieskimi lisami.

— Zle tutaj dają jeść — rzekł Lewis. — Pojedziemy do restauracyi Clarke.

Piotr tak czuł się nagle zdumionym, iż nie wiedział, jak podtrzymywać rozmowę, dopiero gdy przed hotelem zobaczył piękny samochód o sile trzydziestu koni, zawołał bezwiednie:

— Ach! z fabryki ojca!

I na myśl, że w tym odległym kraju tyle jego samochodów jeździ, poczuł się nie tak bardzo osamotnionym.

— Jest to jeden z mych osobistych — odrzekł Lewis. — Gdy muszę pozostać gdzie dłużej, wysyłają mi z Chicago pospiesznym pociągiem me samochody.

Zaprosił do środka swego siostrzeńca i siadł obok niego. Samochód ruszył zaraz i wjechał na Broadway.

Miliarder nie odzywał się.

„A to mój ojciec będzie zdziwiony!“ — myślał Piotr.

Widząc zaś, że wuj jego siedzi zadumany, starał się odgadnąć:

„O czem on myśli? O swych niezliczonych interesach, czy też o przeszłości, którą to spotkanie przywiodło mu na pamięć?“

O przeszłości tej Piotr nie wiele wiedział. Słyszał tylko, iż Julian Maixent wkrótce po wyjściu ze szkoły centralnej, ożenił się z miłości, w dwa lata jednak potem rozwiódł się że swą żoną i znikł gdzieś bez wieści.

„Uciekł z kraju przed swą boleścią, jak i ja... — mówił sobie młody człowiek. Kraj ten jest widocznie odpowiedni do zapomnienia o przeszłości i przywdziania na siebie nowej skóry. Jak wielki wpływ asymilacyjny mają Stany Zjednoczone! Po kilku latach pobytu w nich, Anglicy, Holendrzy i Niemcy stają się podobni do tutejszych mieszkańców — zatracają swój typ i stają się Amerykanami...“

Tymczasem samochód zatrzymał się już i Lewis wraz z Piotrem wysidli przed restauracyą Clarke. Przeszli przez próg, wyłożony kilkudziesięciu dolarami i znaleźli się w sali, urządzonej z niesłychanym przepychem. Miliarder kazał się zaprowadzić do ostatniego gabinetu, którego ściany zawieszone były starymi, francuskimi gobelinami, sufit zaś ozdobiony malowidłami najsławniejszych artystów.

Podczas śniadania, podanego na sposób amerykański, który polegał na tem, iż wszystkie potrawy podano odrazu na stół, Lewis, pijąc wino, zwrócił się do służącego:

— Ta butelka Laffitte, choć jest z 68 roku, nie bardzo mi smakuje... Proszę mi przynieść drugą, taką samą.

Służący zjawił się po chwili z drugą butelką z 68 roku, która już nieco więcej smakowała miliarderowi. Piotr rzucił okiem na kartę win. Butelka Laffitte z tego roku, została oceniona na czterdzieści dolarów, a ponieważ Lewis zażądał dwóch, wyniosło więc to czterysta franków.

Tymczasem Piotr, jedząc przedstawił swój interes. Lewis Jackson zgodził się zająć sfinansowaniem przedsiębiorstwa.

— Dawniej — mówił — nie chciałbym nawet słyszeć o tem... Unikałem wszystkiego, co mogłoby mi przypomnieć Francyę i czasy, w których byłem Julianem Maixent... Teraz jednak nie zważam już na to... Odzyskałem całą swą zimną krew...

Przy deserze przedstawiał w głównych zarysach przyszłą fabrykę.

— Kto będzie dyrektorem? — zapytał. — Czy macie kogo upatrzonego?

— Ja nim będę — odpowiedział młody człowiek.

— Osiądziesz w Ameryce?

— Tak.

— *All right!*

Lewis Jackson zwrócił się do służącego i rzekł mu po angielsku:

— Proszę przynieść mi jeszcze „gwoździa do trumny“.

„Gwóźdź do trumny“ jest to trunek amerykański, tak zwany, ponieważ każdy jego kieliszek skraca życie pijącego o kilka dni. Wśród innych rekordów Amerykanie zdobyli i rekord trunkowy.

Miliarder pytał dalej Piotra:

— A więc w dwudziestym czwartym roku życia, bogaty, sławny i przystojny, wyrzekasz się Paryża?

Młody człowiek uśmiechnął się smutnie.

— Tak jak i wuj wyrzekł się go niegdyś — odpowiedział.

— Ach, ja co innego!...

— Dlaczego jednak nie miałbym wyznać przyczyn, które mnie do tego skłoniły?

— *Well, my dear!* Jesteś moim siostrzeńcem a ja także cierpiałem... Mam więc podwójne prawo do twej ufności... Mów otwarcie!...

Przed miliarderem tymczasem postawiono wazę kryształową i tacę z najrozmaitszemi butelkami. Lewis Jacksohn zaczął przygotowywać „gwoździa do trumny“ z taką starannością, jaką można nieraz obserwować tylko u Paryżan, zajętych przyrządzaniem absyntu.

— Kochałem młodą pannę... — zaczął Piotr. — Chciałem ją poślubić... Pochodziła ona z niezamożnej rodziny...

Jakiś złowrogi cień zamalował się w szarych oczach Lewisa Jacksona. Wywołało go albo ostatnie zdanie Piotra, albo też butelka, którą w tej chwili otwierał business-man.

— Cóż to za wódka? — rzekł do służącego. — Dajcie coś lepszego!

— Mamy stare koniaki — odparł garson.

— Proszę mi dać najlepszego!...

— Najlepszy jest z 1800 roku... Pozostały nam go tylko trzy butelki... Każda kosztuje dwieście dolarów...

— Proszę je przynieść.

— Wszystkie trzy?

— Tak... Jednej użyję tutaj, a dwie inne zabiorę z sobą... Hallo! my dear! — zwrócił się Lewis Jackson do swego siostrzeńca. — Dlaczego przerwałeś? Często prowadzę kilka rozmów odrazu z różnemi osobami i na najrozmaitsze tematy. Mówiłeś, że chciałeś poślubić młodą, bardzo niezamożną dziewczynę?...

— Tak... Nauczycielkę panny de Lagunan... Naraz pewnego dnia dowiedziałem się, że jest to pospolita kokietka...

— Ach! — zawołał Lewis i cała twarz jego zasępiła się odrazu.

Historya ta przypomniała mu jego własną. Wspomnienia przeszłości nie przestawały go zajmować, jakby to się mogło zdawać na pozór.

— Znaleziono w pokoju tej małej — ciągnął dalej Piotr — która nie ma jeszcze dziewiętnastu lat, całą kolekcyę listów miłosnych, adresowanych poste-restante...

Młody człowiek przerwał swe zwierzenia. Twarz jego wuja stała się naraz zupełnie bladą.

Nastało milczenie.

Wszedł garson i przyniósł trzy butelki koniaku, z których jeden odkorkował zaraz i postawił na stole.

— I cóż ona powiedziała? — zainteresował się Lewis Jackson.

— Kto? — zapytał Piotr.

— Mała...

Miliarder schwycił butelkę koniaku i wylał ją prawie całą do wazy kryształowej, przyczem tak mu drżała ręka, iż rozlał trochę na stół.

— Powiedziała, że nie otrzymywała tych listów i że nigdy ich nie widziała.

Bladość Jacksona stała się teraz przeźroczystą.

— I któżby myślał — mówił dalej Piotr — że będzie tak czelną!

— Od kogo one były?

Zazwyczaj wyraźny i ostry nawet głos miliardera drżał teraz widocznie.

— Listy?... Od niejakiego Karola Turnera... Pobiegłem zaraz do pałacyku przy ulicy Godot-de-Mauroi, gdzie odbywały się schadzki...

— Do pałacyku... — powtórzyi Jackson i wypił jednym tchem duży kieliszek koniaku.

— Lecz historya ma zdaje się na wuja oddziaływać? — zwrócił uwagę Piotr. — Mówmy lepiej o czem innem.

— Opowiadaj dalej! — odrzekł miliarder. — Pobiegłeś tam i...?

— Och, zakończenie wcale nie jest dramatyczne! Dowiedziałem się tylko, że ten Karol Turner jest Australczykiem i że nie łatwo go odszukać, gdyż stałe jego mieszkanie jest nieznane.

— I nie mogłeś go odnaleść?

— Mój Boże! Nie szukałem go długo... Po odzyskaniu zimnej krwi doszedłem do przekonania, że ten człowiek nie jest tu nic winien, a sprawczynią wszystkiego jest tylko Ludwika Dubois...

— Tak się nazywa ta młoda panna?

— Tak.

Lewis Jackson, ze wzrokiem utkwionym przed siebie, zdawał się gonić w pamięci jakieś odległe obrazy.

— A minę ma anielską... — ciągnął dalej Piotr z goryczą. Pani de Lagunan i wuj jej, Maksym Duret, wybrali ją na nauczycielkę, tak zalet moralnych jak i dla jej wykształcenia...

Z piersi Lewisa Jacksona dobył się nagle jakiś dziki okrzyk i wstał tak gwałtownie, iż krzesło przewróciło się na podłogę.

— Co się stało? — zawołał przerażony i zdziwiony siostrzeniec.

Garsoni przyglądali się tylko ze zdumieniem tej scenie, nie rozumieli bowiem po francusku i nie wiedzieli, o czem toczy się rozmowa.

— Maksym Duret?... — rzekł miliarder co raz bledszy. Maksym Duret jest wujem tej damy, u której znajdowała się Ludwika Dubois?...

— Tak... Lecz Boże mój, co się stało? — proszę mi powiedzieć!...

Zamiast odpowiedzieć, Lewis Jackson schwycił się za głowę.

— Czy ja śnię? — zawołał. — Czym ja oszalał?

Głos jego, drżący z początku, stał się teraz chrapliwy z oburzenia i gniewu.

— Nie! ja nie śnię! jestem przy zmysłach!

Palce jego ściskały rozpaczliwie czoło.

— Panie!... Wuju!... — szeptał przerażony Piotr.

Służba zaczęła się niepokoić.

Lewis Jackson wziął nagle kapelusz z bocznego stołu i kładąc go na głowę, rzekł machinalnie:

— Chodźmy stąd! Chodźmy! Duszę się tutaj!

(Ciąg dalszy nastąpi)





Zagadki do rozwiązania.

Łamigłówka.

Ułożył Mieczysław Cz. Podlęże.

Podane niżej wyrazy uzupełnić w ten sposób, aby rząd środkowy utworzył imię i nazwisko polskiego poety.

— ar
os —
— oc
sa —
— ko
ko —
— uk
ćm —
— os
cł —
— ąs
pa —
— at
sk —

Figielek.

Ułożył H. A. Krupecki, Warszawa.

Z trzech liter utworzyć pseudonim polskiej autorki.

Zadanie konikowe.

Ułożyła Hela i Razik, Lublin.

żno	i	nie	gieł	że	ta	glą	bil
się	ja	tru	ki	mo	ło	kru	być
pan	pró	ki	bo	pa	ja	krzy	być
król	dzisz	kru	że	ża	nie	chciał	pa

Szarada.

Ułożył T. Kulpa, Korzelice.

Pierwsza z drugą gdzieś rośnie aż przy oceanie,
Druga, trzecia i czwarta: imię, noszą panie.
Pierwsza, druga i trzecia, ten, co niema żony,
Każdy łatwo to zgadnie, nietylko uczony.
Całość Bonapartemu Hiszpanię oddała
Kiedy to w Samosierra wzięła wrogie działa.

Logogryf.

Ułożyła H. Ochmanówna, Skała.

Kwadraty i kreski zastąpić literami, aby powstały wyrazy o podanem niżej znaczeniu Rząd środkowy, czytany z góry na dół, utworzy nazwisko i imię znanego polskiego poety.

— — □ — —
— □ —
— — □ — —
— □ —
— — □ —
— □ —
— — □ — —
— □ —
— — □ — —
— □ —
— — □ — —

Znaczenie wyrazów: 1. Część papieru wartościowego. 2. Rzeka w Rosyi 3. Miasto na Litwie. 4. Imię żeńskie 5 Wyspa na morzu karaibskiem. 6. Zaimek. 7. Przydomek jednego z królów polskich 8 Zwierzę drapieżne. 9. Imię żeńskie słowiańskie 10. Liczebnik. 11. Inaczej godło.

Szarada.

Ułożył T. Kulpa, Korzelice.

Pierwsza z drugą są szybsze, niż sokoły harde
Szybsze nawet niż wiatry, piorun, elektryka,
Druga z trzecią są z wierzchu miękkie w środku twarde,
Choć surowe, człek zawsze z smakiem je połyka
Całość ptactwo i zwierza łowi w polu, borze,
Każdy łatwo już teraz to odgadnąć może.

Zadanie na rozsypane litery.

Ułożył A. K. Kraków.

Z podanych 34 liter ułożyć znaną polską maksymę:
A, a, a, a, ć, d, d, e, e, i, i, k, ł, ł, ł, m, m, n, o, o, o, o, r, s, t, t, u, w, w, z, z, z, ż, ż.

Zadanie do przestawienia.

Ułożył H. A. Krupecki, Warszawa.

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie:
Chory, cud, wzor, w, miedze, lew, d.

Szarada.

Ułożyła M. Br. Urbańska, Kraków.

Pierwsze wtedy wymawiamy,
Kiedy spokój mieć żądamy.
Druga-trzecia wszystkim znana
Jeśli dobra, pożądana,
A zaś całość, powiem szczerze,
Znajdziesz w każdym to numerze.

REBUS.



Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznacza Redakcya do rozlosowania *Thersity (M. Krzymuskiej)*: **Stygmat.**

Właściciel i wydawca: Stanisław Lipiński. Za Redakcyę odpowiedzialny: Wacław Lipiński. Klisze z własnego zakładu Drukiem D. E. Friedleina w Krakowie.